



ODGŁOSY

► WIELKA NAFTA RZĄDZI W USA — Jerzy Czech ► IDZIE MŁODOŚĆ ► ŁÓDZKI SHOW TARGOWY — Widok ► BEZ WZGLĘDU NA MIEJSCE — Kronikarz ► DOBRY KAŻDY KLIENT — Żanetta Puryś ► MAŁE JASNE DLA WETERANA — Henryk Dudek ► CZIK — Andrzej Sroczyński ► CZY BĘDZIE MIAŁ PAN RESZTĘ — Art Buchwald ► PRZEBRANY ZA SMOKA — Andrzej W. Mikołajewski ► NIEDOKONCZONY DYPTYK — Konrad Frejdlch ► WIĘZIENIE — Georges Simenon ► RECENZJE ► FELIETONY ► POLEMIKI ► REPORTAŻE ► SEX W LITERATURZE ►

FELIKS BĄBOL

DOM NA BUCZKA

A więc najpierw od każdego członka związku zawodowego zatrudnionego w zakładach „Lodex”, „Feniks” i „Duracz” po 20 zł rocznie — to na działalność tzw. merytoryczną, następnie — od każdego pracownika 40 zł rocznie — na działalność administracyjno-gospodarczą. Ale nie zapomniamy i o dotacjach największego w Łodzi mecenasa kultury zakładowej — Zarządu Głównego Związku Włóknianarzy i dotacjach Łódzkiej Rady Związków Zawodowych. Razem wynosi to około 200 tys. zł rocznie.

A więc następna baza materialna: sala widowiskowa, która w razie potrzeby staje się salą prób, salą do projekcji filmów, na konferencje, do tego scena, świetlica z TV, ciemnia fotograficzna, modelarnia, pokój gier dla młodzieży, biblioteka z 5 i pół tys. tomów, instrumenty muzyczne, obrazy na ścianach — „Łódź stara” i „Łódź nowa”, magnetofony, adapter.

Międzyzakładowy Dom Kultury „Lodex” prezentuje się od ulicy Buczka dość okazale, już od początku swego istnienia ścigał uwagę okolicznych mieszkańców, zwłaszcza młodzieży, która nie wiedziała, co zrobić z wolnym czasem, której obmierzała alternatywa picia wina po bramach, bałaganienie w parku Staszica, której nie chciało się igrać z prawem. Stąd też — co czwarty młody człowiek korzystający z usług „Lodexu” to mieszkaniec rejonu ulic Buczka, Nowotki, Rewolucji 1905 roku i Jaracza, a bynajmniej nie — etatowy pracownik zakładów włókienniczych „Lodex”, czy dziewiarsko-pończosznich „Duracz”.

Dalszy ciąg na str. 6



Przejeżdżaliśmy tędy często, z rzadka jednak zatrzymując się na dłużej tylko w pobliskim Urzędzie Miasta, albo w którejś z fabryk. Stare centrum Zduńskiej Woli nie ma w sobie niczego atrakcyjnego. Zresztą i samo miasto, to typowa ulicówka, która dopiero w ostatnich latach rozrasta się wszędzie.

HENRYK POLAK

KRZYSZTOF TUROWSKI

SAGA RODU ŹRÓDLAKÓW

Tym razem jednak popas trwał kilka godzin. Pani Stefania Stepieńska w rewanżu za podwiezienie jej z zakładów odległych od własnego mieszkania o prawie 3 kilometry, zaprosiła nas na kawę. Skorzystaliśmy z tej oferty, bo od dawna marzyło nam się spotkanie z rodziną Źródłaków, o której tyle nam opowiadała. Bo pani Stefania nosi rodowe nazwisko Źródłaków.

— Jeszcze parę minut poczekamy, aż wróci córka ze szkoły, a i mąż powinien zaraz być. Małego nie będzie dłużej — naukę rozpoczyna na drugiej zmianie. Mamusię i tatusia zaraz poproszę — mieszkają obok.

Usiedliśmy więc przy świeżo nakrytym stole. Pojawiła się kawa, za chwilę rzeczywistość zaczęła się schodzić domownicy.

— Patrzcie jak mieszkamy — rozpoczęła rozmowę pani Stefania widząc, że rozglądamy się po pokoju. Przytaknęliśmy, bo co prawda, to prawda.

— Tutaj poddasze było. Jeszcze nie tak dawno tynek sypał się na głowę. Ale wyremontowali. Teraz są dwa pokoje i kuchnia. Właściwie to było mieszkanie mamusi, bo myśmy mieli tylko jeden pokój. I mamusia powiedziała: „co mnie na starość po tym mieszkaniu, a wy z dziećmi gnieździecie się w jednej klatce”. No i zamieniliśmy się. Nawet chętnie. Bo w blokach też mogliśmy otrzymać mieszkanie. Tylko nie takie duże jak to, no i co nie jest bez znaczenia, trzeba by wpłacić większy wkład. A tutaj w śródmieściu, wszędzie blisko, tylko do pracy trochę dalej. Ale jak pada deszcz, to można podjechać autobusem.

W trakcie tej opowieści w mieszkaniu zjawił się sam gospodarz — Kazimierz Stepieński. Tak na oko wyglądał na niewiele po czterdziestce. Potem się okazało, że mieliśmy rację. Czterdziestkę kończy w tym roku.

Dalszy ciąg na str. 5

HALINA JAGIEŁŁO

JESZCZE Z ZASŁONA NA TWARZY

(KORESPONDENCJA WŁASNA)

Turcja — Syria — Liban. Oto długa i egzotyczna trasa mojej podróży. Trudno by opisać wszystkie widziane miasta, arcyciekawe zabytłki zamierzchłej przeszłości, kunszt tureckich, syryjskich czy libańskich mistrzów rękodziela, zwyczaje i obyczaje mieszkańców tych odległych krajów Bliskiego Wschodu. Zresztą odczucia były zbyt przelotne, obserwacje zbyt powierzchowne, a zatem i oceny byłyby nie dość pogłębione. Dlatego będą to luźne impresje ograniczone do Syrii, której egzotyka wywiera szczególnie głębokie wrażenie.

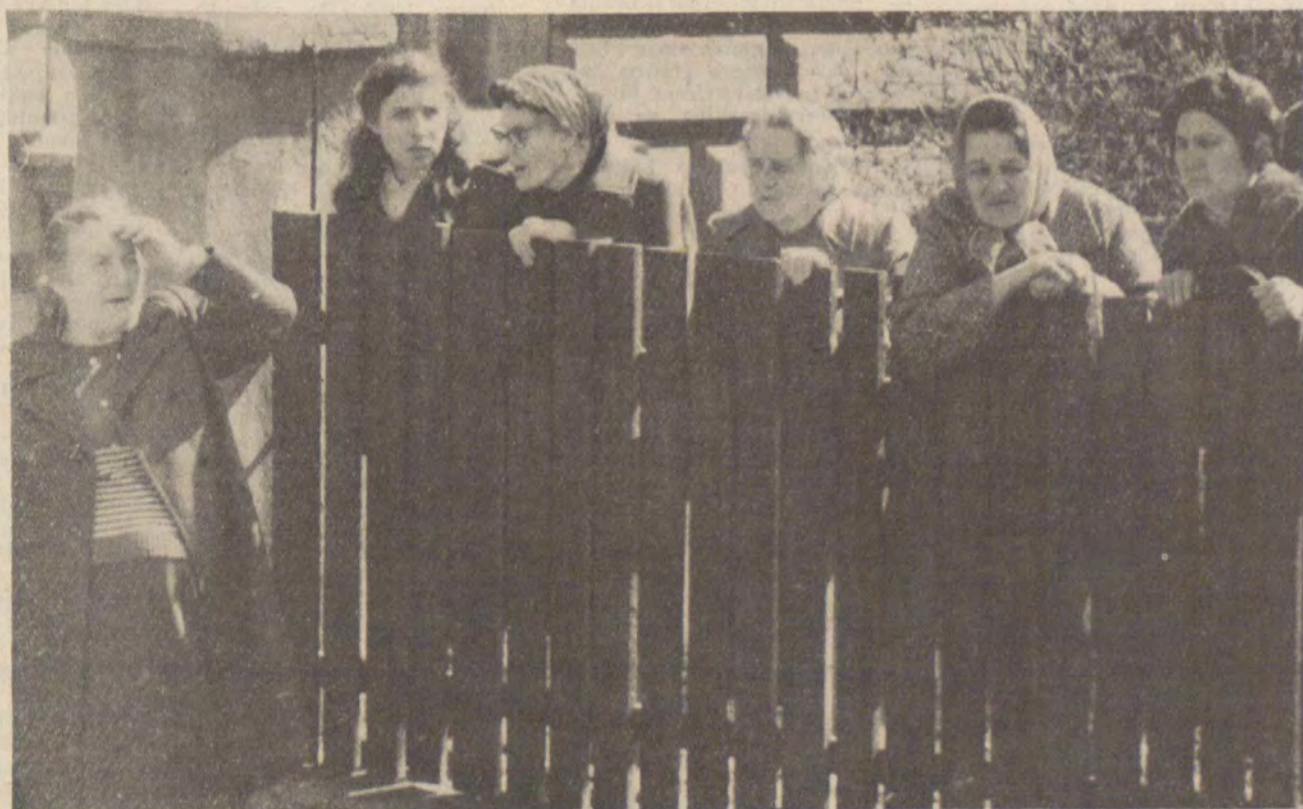
Moje pierwsze spotkanie z Syrią nastąpiło w Haleb, dawnym, sławnym Aleppo. To duże i ludne miasto, liczące dziś grubo ponad pół miliona mieszkańców, leży na drodze do Damaszku. Dojeżdżając do Halebu już z daleka widać wyrastający nad miastem potężny maszyn starożytnych umocnień obronnych. Zbudowane przez arabskich inżynierów wojskowych, noszą wyraźne ślady wpływów Bizancjum i Rzymu. Podobne spotyka się w różnych rejonach kraju. Trzeba by dużego talentu, żeby móc opisać urzekające piękno tego miasta. Zdziwiająca architektura starożytnych meczetów, bazaltowe posągi bogów, bajeczny urok starych domów zajętych — karawan-serajów — z ich koronkowymi upiększeniami w drewnie, urocze uliczki, cieniste sady, zaciszne stylowe wille.

Po kolacji, o jedenastej wieczorem, wychodzimy na spacer. Ruch już niewielki, wśród przechodniów ani jednej kobiety. Ciekawi życia Halebu by nigdy nie wchodzimy do kawiarni-ogródka pod gołym niebem. Na wprost wejścia mała scenka, na niej kilkunastu muzyków i refrenistka. Egzotycznej melodii wtóruje mocny głos śpiewaczki. Wokół stoliki a przy nich sami mężczyźni. Ale rozglądając się dyskretnie, ale nieco uważniej, w odległym końcu ogródka dostrzegamy trzy czy cztery samotnie siedzące kobiety. Trudno powiedzieć, czy przyszły tu dla rozrywki. Może. Pośród stolików krąży chłopiec sprzedający małe bukietki kwiatów, panuje tu bowiem zwyczaj, że obecni w kawiarence mężczyźni kupują bukietki i w dowód uznania ofiarowują je śpiewaczce. Kelner

Dalszy ciąg na str. 4

JÓZEF PENC

SKĄD WZIĄĆ WOLNY CZAS



IDZIE MŁODOŚĆ

Zwyczaj się uważa, że młodość trwa do lat 30, ale czasem można być młodym — myśleć i czuć jak człowiek młody — znacznie dłużej. Można też nie mieć ukończonych 30 lat i być zmęczonym życiem, postępować jak człowiek stary. Zależy to nie tylko od usposobienia, temperamentu, ale też i od wychowania, od tego, czy człowiek stawia sobie jakiś ambitny cel w życiu, czy do czegoś dąży, czy też jest mu wszystko jedno i żyje tylko z dnia na dzień. Proces wychowania nie kończy się jednak w szkole, a składa się na niego wiele różnorodnych czynników, które wpływają na człowieka, kształtując jego osobowość.

Stawiamy sobie — jako naród — ambitne cele. Chcemy nie tylko w szybszym tempie nadrobić zapóźnienia, ale też znaleźć dla siebie należne miejsce w dokonującej się rewolucji naukowo-technicznej. Dlatego potrzebujemy ludzi nie tylko dobrze wyszkolonych, przygotowanych do życia, ale ludzi, którzy swoim twórczym zapalem, talentem, wiedzą i umiejętnością mogliby porywać innych, rozbudzać ich ambicje, kształtować klimat twórczych poszukiwań i osiągnięć. I dlatego w programie partii tyle uwagi przykłada się do spraw wychowania.

„Stoi przed nami zadanie zapewnienia społeczeństwu polskiemu w nadchodzącym dwudziestolecu powszechnego dostępu do zdobyczy nowoczesnej cywilizacji” — głosi „Tezy Komitetu Centralnego PZPR” uchwalone na XIII plenarnym posiedzeniu KC.

W ocenie mijającego trzydziestolecia nie zatrzymaliśmy się na osiągnięciach, spojrzeliśmy w przyszłość. Partia zarysowała przed nami wizję przyszłości, nowoczesnej Polski, kraju z przełomu XX i XXI wieku. Uznaliśmy rok 2000 symbolem nowoczesności, granicą dwu

epok, za którą otwiera się perspektywa dalszego rozwoju nauki, kultury, życia społecznego. Partia postawiła przed całym społeczeństwem wyraźny cel: wejść w XXI wiek jako kraj nowoczesny, dostatni, dorównujący najlepszym. Ale realizacja tego celu zaczyna się już dziś. Pracujemy dla siebie, realizując jednocześnie przyszłe zadania. Sięgając daleko w przyszłość, przyczyniamy się do lepszej pracy dziś i szybciej będziemy osiągać najbliższe cele. Zrozumienie tej zależności zawiera w sobie wielki walor wychowawczy.

„Rozwijając socjalistyczne stosunki społeczne — czytamy w „Tezach Komitetu Centralnego PZPR” — będziemy tworzyć i utrzymywać właściwy klimat społeczny — klimat stałej zachęty dla ludzi ofiarnych, pracowitych, zdolnych i ambitnych. Będziemy dążyć do tego, aby obiektywnie sprawdzalne kwalifikacje ideowo-moralne i zawodowe stały się u nas jedynym kryterium awansu życiowego jednostki. Każdy, kto pracuje, będzie miał zapewniony odpowiedni udział w podziale dochodu narodowego. Ale ci, którzy pracują więcej i lepiej, którzy przysparzają krajowi

dobro o szczególnej wartości, niech korzystają z wyższego standardu materialnego. Powinniśmy ich wyróżniać i otaczać powszechnym szacunkiem. Musimy kształtować w obywatelach społecznych i umysłach ludzkich nową hierarchię wartości, w której motywem działania jednostki, jej ambicje i gotowość do szczególnie intensywnych prac godziłyby się w sposób naturalny z najszerzej pojętym interesem społecznym”.

Program wychowania młodego pokolenia zawierała partia w uchwale VII Plenum KC PZPR. Program ten jest konsekwentnie realizowany. Zobowiązują do tego wytyczne I Krajowej Konferencji Partijnej, zobowiązują one partię, zobowiązują państwo, zobowiązują naród. W polityce wychowawczej państwa podjął się coraz to nowe inicjatywy, których celem jest realizacja zadań nakreślonych przez VII Plenum KC PZPR. Ostatnio pierwsze swoje posiedzenie odbyła Rada do spraw Wychowania, powołana przez Radę Ministrów. Na jej czele stanął minister oświaty i wychowania — Jerzy Kuberski. Rada będzie sprawowała kontrolę nad realizacją polityki wychowawczej państwa, podejmowała w tej dziedzinie niezbędne inicjatywy oraz sprawowała funkcje opiniotwórcze, będzie koordynatorem wychowawczej działalności w kraju.

W województwach urzędy wojewódzkie, a w Łodzi Urząd Miasta opracowują i przedstawiają radom narodowym programy wychowania, kształcenia i poprawy warunków socjalnych młodzieży. Program taki został już opracowany w Urzędzie Miasta Łodzi. Jest to program obszerny, ale na plan pierwszy wysuwają się w nim sprawy kwalifikacji, kształcenia i nauczania.

Według danych statystycznych w 1972 roku w Łodzi mieszkało 774,2 tys. osób, w tym 201,7 tys. osób w wieku od 16 do 29 lat. Według nieco wcześniejszych danych, bo z 1970 r.,

na 186,5 tys. osób w wieku 16—29 było w Łodzi 6,4 tys. osób z wyższym wykształceniem, 57,7 tys. — ze średnim, pomaturalnym i niepełnym wyższym, 45,4 tys. — z zasadniczym zawodowym i 72,1 tys. osób — z wykształceniem podstawowym.

Losy ludzkie układają się w różny sposób i choć coraz szersze są możliwości koźcenia szkoły średniej, to nie wszyscy z tych możliwości korzystają. Problem jednak nie sprowadza się tylko do tego, aby młodzi ludzie, przechodząc bezpośrednio z progu jednej szkoły na inny, wyższy. Chodzi również o stworzenie takiego systemu kształcenia, aby każdy — niezależnie od jego osobistych warunków — miał otwartą drogę do podnoszenia kwalifikacji i zdobywania wiedzy. I taki system kształcenia już posiadamy. Urząd Miasta Łodzi uznał jednak za wskazane zobowiązać zakłady pracy nie tylko do tego, aby zachęcały swoich pracowników do dalszego podnoszenia kwalifikacji, ale również do stworzenia warunków, w których ci pracownicy mogliby z pożytkiem pracować i uczyć się. Ma to być długofalowa polityka, stanowiąca element polityki kadrowej przedsiębiorstwa.

W każdym programie wychowawczym istotnym jest wzor osobowy, jaki chcemy przedstawiać młodym do naśladowania. Myślę, że w Polsce 1974 roku i w latach następnych, powinniśmy obowiązywać model człowieka wykształconego, twórczo zaangażowanego w przekształcanie naszego życia, w dążeniu do najlepszych na świecie, w tworzenie nowych wartości w różnych dziedzinach życia. A są wśród nas tacy, i trzeba ich pokazywać innym, ale rozsądnie, umiejętnie, z umiarem, aby znów nie przedobrzyć i nie przesłodzić, do czego ostatnio mamy nadzwyczajną skłonność.

MARCIN RODAK

Δ WIOSENNA SUSZA. Cieszymy się, że wiosna w tym roku zawiąta wcześniej, że obyło się bez wiosennych roztopów, ale zapominamy, że jest to radość jednostronna. Ładna pogoda, codzienne słońce, w promieniach którego co wytrwali i dysponujący wolnym czasem próbują się już opalać, niesie też z sobą poważne niebezpieczeństwo. Wiosenna susza zagraża rolnictwu, komunikacji wodnej i wodociągom. W Wiśle przed kilku dniami notowano tylko 80 cm wody. Na Odrze — z powodu niskiego stanu wody — barki rzeczne ładują się tylko do połowy Niski stan wody zagraża również wodociągom, zasypując piaskiem ujęcia wodne.

Δ NAGRODY I PREMIE DLA STUDENTÓW. Zagadnieniem tym zajmuje się specjalny zespół Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Podstawą do rozważań są decyzje rządowe, uchwalone przez Sejm PRL, a przewidujące na pomoc materialną dla studentów 200 mln zł dodatkowych pieniędzy rocznie.

nej wiedzy, a co z „uczestnictwem” w pracach badawczych uczelni? Z praktyki wiadomo, że bardzo dobrzy uczniowie ze szkół średnich nie zawsze dają sobie radę na wyższej uczelni, gdzie obowiązuje inny system uczenia się, gdzie nie wystarcza umiejętność wykucie się lekcji, a trzeba też wykazywać dużą samodzielność w przyswajaniu wiedzy. Uczelnia ma przygotowywać dobrych specjalistów, ma ich przygotowywać do późniejszego samodzielnego życia. Często zdarza się, że średniej miary studenci są późniejszymi praktykami, a „prymusi” szybko schodzą do poziomu średniego wyrobniaka. A przecież nam chodzi o kształcenie ludzi, którzy potrafiliby samodzielnie rozwiązywać wiele problemów, którzy mieliby twórczy stosunek do pracy.

Miejmy nadzieję, że obiektywnie nie są obce członkom zespołu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

Δ „OD TATR DO BALTYKU” — to nazwa tysiąca imprez, jakie zaplanowano na maj w związku z „Dniami Kultury,

NOTY I OPINIE

Obowiązujący obecnie system premiowania dobrze uczących się studentów przewiduje socjalne stypendia w wysokości od 400 do 1200 zł miesięcznie dla tych, którzy osiągnęli najwyższe wyniki w nauce i którzy uczestniczą w pracach badawczych uczelni. Premie te otrzymywać mogą tylko studenci, którzy pobierają stypendia. Dla innych — za dobre wyniki w nauce przewiduje się jedynie jednorazowe premie w wysokości 1500 zł.

Zespół Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego ujmie ocenę ten system premiowania studentów, uważając, że za dobre wyniki w studiach jedni studenci otrzymują w semestrze około 5000 zł, a inni tylko 1500 zł. Proponuje się pozostawienie decyzji o premiowaniu studentów rektorowi, który działałby w porozumieniu z Socjalistycznym Związkiem Studentów Polskich. Proponuje się przyznawanie specjalnego stypendium naukowego każdemu studentowi, który osiągnąłby wyniki w nauce równe 4,5 i wyższe.

Proponuje zespół Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego budzą jednak pewne obawy. Rodzi się pytanie, czy premiowanie tylko dobrych wyników nie będzie skłaniało studentów jedynie do mechanicznego przyswajania wymaganej wiedzy.

Podobnie w POZNANIU, gdzie przewiduje się koncerty w amfiteatrach Konina, Gniezna, Wągrowa i Chodzieży. Od lipca w Poznaniu czynna będzie wielka hala widowiskowo-sportowa „Arena”.

W OLSZTYNIE rozpoczyna cykl koncertów w nowej hali „Olimpia” i w sopockiej Operze Leśnej.

W KRAKOWIE codzienne wyświetlanie na ratuszowej wieży kroniki miasta oraz występy „Groteski” na Ryńku. W Pleskowej Skale impreza „Światło i dźwięk”.

W KATOWICACH planują w jednym z zakładów Chorzowa otworzyć stałą scenę rozrywkową.

A w Łodzi? Łodzi niestety nie ma w tym przeglądarce estradowych zamierzeń Niedopatrzenie? Nie, „Express Wieczorny” lojalnie informuje, że w Łodzi odbyły się Ogólnopolskie Targi Estradowe.

Δ WŁODZIMIERZ LUBAŃSKI prosił o cierpliwość kibiców, a mimo to wystąpił w meczu z chorowskim Ruchem.

Najważniejsze, że wyszedł na boisko — powiedział „Przeładowi Sportowemu” Kazimierz Górski — że grał. Rozmawiałem z nim po meczu. Mówił, że czuje się dobrze i nie odczuwa żadnych dolegliwości. To najbardziej pomyślna wiadomość.

Istotnie, ale to nie zmienia sytuacji, że dzieje się w drużynie reprezentacyjnej Chorwacji: J. Tomaszewski, A. Szymonowski, J. Marx, J. Gorgon. Zabraknie więc ich wszystkich w spotkaniach sparingowych z VFB Stuttgart i w Belgradzie.

W tych meczach wystąpią natomiast — powołani do reprezentacji przez Kazimierza Górskiego — Maszczyk i Ostafinski. Miejsce Jana Tomaszewskiego w bramce zajmie Mowlik.

A swoją drogą można było wcześniej pomyśleć o tym, aby uchronić kadre piłkarskie przed ligowymi kontuzjami. Do mistrzowskich spotkań nie pozostawało znowu tak wiele czasu.

KRONIKARZ

POGLĄDY, STANOWISKA

BEZ WZGLĘDU NA MIEJSCE

Dyskusje o kulturze należą u nas do stałego repertuaru. Co jakiś czas, przez łamy czasopism i gazet przewala się lawina dyskusyjnych wypowiedzi, które częstokroć sprowadzają się do stwierdzenia, czego to u nas nie ma i co nam potrzeba, aby było dobrze? Tym razem jednak rozważania spowodowane zostały inicjatywami wojewódzkich organizacji partyjnych, które bądź już odbyły swoje plenarne posiedzenia poświęcone sprawom kultury, bądź je dopiero przygotowują. Rozważania te różnią się od innych tym, że koncentrują się nie tylko na ocenie niedostatków, ale zmierzają do ukształtowania programu rozwoju kultury w danym regionie. I to programów dalekosiężnych.

Jedno z takich posiedzeń odbyło się w Krakowie. Z tej okazji Władysław Machajek opublikował na łamach „Życia Literackiego” artykuł pod tytułem: „Ideologia, człowiek, kultura” (nr 14, 7 kwietnia 1974 r.). W artykule tym pisze on między innymi:

„Zawsze odwoływaliśmy się do kultury i dzieł artystycznych, żeby kształtowały, zwalczały złe przejawy i integrowały. Ale skoro mają konkretnie kształtować, to same także muszą być kształtowane i kiedyś ukształtowane. Nie można leczyć diabła Belzebubem, chociaż skala porównania jest tu bez porównania mniejsza. Rektor Jerzy Krasowski, mający w swym dorobku reżyserskim wysokiego lotu wizji sztuki, mówił chyba na Woj. Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej PZPR w Krakowie, że należy dążyć do stworzenia dzieł na miarę socjalistycznych wartości i dopiero wtedy przystąpić do ofensywy na maluczkich duchem, zwykłych zjadaczy chleba, niewinnych, albowiem lnej strawy powszechnie smakującej nie mają. Tak odebrałem, może się przestyszałem. W każdym razie czyjeśkolwiek autorstwa jest taka teza, pachnie defensywnością”.

Władysław Machajek wątpi w istnienie „gotowego nowego człowieka w skali masowej”, ale też jest przeciwny czekaniu z założonymi rękoma aż człowiek taki się objawi. Jego zdaniem, jeśli chcemy tworzyć nową kulturę, noszącą określone wartości ideowe, to musimy być do kultury nie tylko adresowaną do współczesnego człowieka, ale takiego człowieka kształtującą.

„Za najbardziej pomocną w kształtowaniu człowieka — pisze on — w sensie uświadczenia, kim jest i ewentualnie powinien być — uważam sztukę wielkich treści ideowych, politycznych i moralnych. (...) przede wszystkim ze względu na kształcenie młodych generacji na wielkich doświadczeniach. Pokazując jak było, jak jest — brać ich na dobre i na złe. W takim właśnie niekonkretualnym wyborze rodzi się niekonkretualny socjalistyczny człowiek”.

W uchwale przyjętej przez Komitet Wojewódzki PZPR w Krakowie stwierdzono — jak informowała „Trybuna Ludu” — konieczność opracowania wspólnego dla całego regionu programu działania do r. 1980 oraz określającego główne zadania i przedsięwzięcia inwestycyjno-organizacyjne do roku 1990”.

W rozważaniach o kulturze miasta i regionu zwykliśmy niekiedy uciekać się do przykładów z innych stron Polski. Podobają się nam niektóre inicjatywy i poczynania Wrocławia, Poznania, Bydgoszczy, Krakowa, Gdańska, ale najczęściej zapominamy, że „wszędzie tam dobrze, gdzie nas nie ma” i o tym, że każdy ma swoje własne kłopoty i zmartwienia. Piszę o nich w kwietniowym zeszycie numerze „MLK” — czyli „Miesięcznika kulturalnego liter” — Jan Bożykowski w artykule zatytułowanym: „Kultura gdańska jaka jest?”. I choć redakcja „Liter” zastrzegła w notce, że Jan Bożykowski „pa-

trzy jednostronnie, przesadnie pomniejsza lub pomija wartości kultury powstałe na przestrzeni lat”, to przecież zgłasza on szereg interesujących propozycji, formułuje wiele ciekawych opinii.

Jaka więc jest „kultura gdańska”? Czy kształtują ją imprezy „Sopockiego lata”, kiedy to zgodnie z dowolnie interpretowaną prawem Greshama — Kopernika „gorsza kultura wypiera lepszą”? Czy też Wybrzeże ma coś do zaoferowania innym regionom kraju?

„Wymiana dóbr kulturalnych pomiędzy regionami — pisze — jest koniecznością, jeżeli kultura — rozumiana jako harmonijne urozównanie — nie ma ugrzęznąć w sferze małych, lokalnych, regionalnych wartości. Małych, regionalnych wartości. Szansą dla gdańskiej kultury jest tylko kultura o wymiarze ponadlokalnym, ogólnopolskim, sprzymierzona z dziedzictwem przeszłości, a także z dziedzictwem samorodnej kultury Kaszub, Kociewia i Powiśla”.

Jan Bożykowski doskonale rozumie, że nie ma „kultury gdańskiej”, tak jak nie ma „kultury łódzkiej”, rzeszowskiej, bydgoskiej, krakowskiej. Jest tylko kultura polska, bo powstaje ona niezależnie od miejsca zamieszkania twórcy, bo ma służyć wszystkim, nieświeżym wartościom narodowym i ogólnoludzkim. Każdy region może i powinien dokładać do narodowej kultury swoją cześćkę, wyrastać z doświadczeń przeszłości i współczesności. Dla Wybrzeża szansą jest morze. Daje ono możliwość wyjścia z problemów kultury zarówno na cały kraj, jak na zagranicę. Wspomina więc przedwojenną działalność Instytutu Bałtyckiego oraz współczesne już inicjatywy.

„W basenie Morza Bałtyckiego — pisze — zaczęło kształtować się myślenie kategoriami już nie partykularnych interesów poszczególnych narodów i państw, lecz kategoriami całej ludzkości. Żadnemu z mórz nie przydano, jak Bałtykowi, miana „Morza Pokoju”.

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sektarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ. Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI.

ODGŁOSY

SKĄD WZIĄĆ WOLNY CZAS

W socjalizmie na czoło różnych zagadnień społecznych wysuwa się stały wzrost stopy życiowej ludzi pracy. Różne bywają oceny tego wzrostu, jak również różne odczucia jego skutków. Najczęściej wiąże się go z wysokimi zarobkami i powszechną dostępnością dóbr rynkowych. Nieco mniejszą wagę natomiast przywiązuje się tutaj do dóbr niematerialnych, które są do życia niezbędne. Takim dobrem — bezcennym i niepomnażalnym jest czas wolny, czas którym człowiek może swobodnie dysponować.

Wielu socjologów uważa, że problem wolnego czasu jest w socjalizmie „najdonioślejszym problemem rozwoju społecznego” i równolegle do tradycyjnej kategorii „społecznie niezbędny czas pracy” usiłuje sformułować nową kategorię: „społecznie niezbędny czas wolny”. Jest oczywiste, że wymiar takiej kategorii nie da się ustalić ściśle i precyzyjnie. Istotne jest tutaj właśnie to, że w rozszerzaniu tego czasu widzi się jedno z podstawowych kryteriów postępu społecznego.

Rosną zainteresowania różnych dyscyplin naukowych tym czasem: interesują się nim lekarze i fizjologowie, psychologowie i pedagodzy a ostatnio także i ekonomiści. Coraz wyraźniej prowadzone w tym zakresie badania nabierają charakteru kompleksowego, a ich motywem przewodnim staje się u nas marksowska formuła o zapewnieniu warunków dla wszechstronnego rozwoju osobowości człowieka.

O tym jak bardzo jest ten czas współczesnemu człowiekowi potrzebny świadczy m. in. następujące okoliczności:

1. Wzrastające tempo i napięcie pracy przemysłowej, daleko posunięty jej podział i specjalizacja wywołują u człowieka cały kompleks wyczerpania fizycznego i zmęczenia nerwowego (tzw. zmęczenie przemysłowe) objawiającego się rozdrażnieniem, odepiciem, bezsennością w nocy, sennością w dzień, wzrostem zaburzeń neurosychicznych i wypadkowoscią. Sprawa ta, że pełna regeneracja sił do pracy warunkująca dalszą jej wydajność staje się utrudniona.

2. Szybki rozwój uprzemysłowienia, powstawanie nowych gałęzi produkcji i dalsze jej mechanizacja wymagają stałego doskonalenia kwalifikacji a nawet całkowitej ich zmiany. Rosnąca złożoność pracy wymaga dłuższego okresu przygotowania do zawodu i systematycznego podnoszenia wiedzy.

3. W miarę rozwoju społecznego zwiększa się liczba informacji politycznych, naukowych, technicznych, kulturalnych itp., których przyswojenie sobie przez współczesnego człowieka jest nieodzowne, bez względu na wykonywany zawód. Wzrasta również rola życia kulturalnego, w którym uczestniczyć chce coraz więcej ludzi. Wzrost potrzeb do podniesienia poziomu życia i potrzeb do podniesienia poziomu konsumpcji staje się nieodzowną potrzebą w życiu cywilizowanego człowieka.

4. Daleko posunięta feminizacja zawodu, a zwłaszcza wielozmianowa praca kobiet komplikują mocno procesy wychowawcze. Zjawisko to urasta dzisiaj do rangi wielkiego problemu społecznego. Rozbudowana sieć instytucji oświatowo-wychowawczych nie jest w stanie zastąpić społecznych funkcji rodziny. Ale funkcjom tym nie może sprostać i współczesna rodzina, a zwłaszcza kobiety obciążone podwójnym obowiązkiem — pracy zawodowej i prowadzenia gospodarstwa domowego. W konsekwencji rozluźnia się więź rodzinna, komplikują się funkcje wychowawcze rodziny. Skutki zaś takiego stanu rzeczy są powszechnie znane. Wskazują one wyraźnie na potrzebę przeniesienia społecznej rangi rodziny, jako ośrodka wspólnoty nie tylko konsumpcyjnej, ale i emocjonalnej.

5. Współczesne warunki wytwarzania dobra umożliwiają produkcję dóbr i usług w skali dotychczas nie spotykanej. Jednocześnie w miarę wzrostu poziomu życia i ogólnego postępu rośnie zakres odczuwanych potrzeb. Z drugiej strony rośnie poziom zamożności społeczeństwa. Istnieje więc potrzeba dysponowania przez ludzi odpowiednią ilością czasu dla konsumpcji i tworzenia efektywnego popytu.

Tak więc, postępujący rozwój społeczno-gospodarczy stawia zarówno całe społeczeństwo jako i poszczególne jednostki wobec całego szeregu wymagań, którym muszą one sprostać całkowicie lub w głównej mierze w czasie wolnym od pracy zawodowej. W konsekwencji nasila się potrzeba wydzielania z ogólnego funduszu czasu, którym człowiek dysponuje, coraz więcej wolnego czasu dla realizacji owych wymagań.

W naszym społeczeństwie czas wolny jest jeszcze dobrem nader rzadkim. Jeśli pominąć określone grupy młodzieży i emerytów, to statystyczny pracownik odczuwa wyraźnie napięcie bilansu czasowego. Napięcie to szczególnie dotkliwie odczuwają kobiety oraz młode, stabilizujące się małżeństwa.

Wydawać by się mogło, że w warunkach kiedy czas poza pracą wynosi 60—70 proc. dziennego funduszu czasu, czas wolny winien być dobrem powszechnie dostępnym i winno go wystarczać, by ludzie mogli w pełni zaspokajać swoje potrzeby w zakresie różnych form wypoczynku i kultury. W rzeczywistości jest inaczej. Istnieje bowiem szereg wyznaczników wolnego czasu takich jak np. dodatkowe prace zarobkowe (praca po pracy) dojazdy do pracy i z pracy, zajęcia w gospodarstwie domowym, zakupy itp., które jego zasoby czynią pozycją marginesową. Szczególnie małą ilością wolnego czasu w dniu powszednim dysponują pracownicy przemysłu lekkiego. Ich możliwości w tym zakresie kształtują się znacznie poniżej przeciętnej dla innych środowisk.

Z badań przeprowadzonych wśród załóg tego przemysłu — wynika, że jednej trzeciej badanych dojazdy do pracy pochłaniają ponad 30 minut, 23 proc. — ponad godzinę, a 10 proc. — ponad 2 godziny dziennie. Codzienne dojazdy są ponadto oceniane jako zbyt męczące: 24 proc. uznało stan w tym zakresie za zły, 40 proc. dało ocenę średnią, a 20 proc. nie umiało sprecyzować swego sądu. Na codzienne zakupy prawie 70 proc. ankietowanych przeznaczają od 1 do 3 godzin, a 17 proc. musi na ten cel poświęcać aż ponad 3 godziny. Podobnie jak komunikację, oceniali pracownicy działalność placówek usługowych i handlowych: 52 proc. ankietowanych uznało obecny stan usług za średni, 19 proc. oceniło je jako zły, a tylko 10 proc. dało ocenę dobrą, zaś 19 proc. nie umiało sprecyzować odpowiedzi.

W rezultacie tych i innych czynności poza pracą zaledwie 7 proc. badanych dysponuje trzema i więcej godzinami w ciągu dnia, dalsze 22 proc. minimalnymi 2 godzinami, a zdecydowana większość — ponad 70 proc. — ma sprowadzone możliwości wypoczynku do skrajnego minimum. Wyjątkowo małą ilością wolnego czasu dysponują kobiety: ich możliwości w tym zakresie są poważnie zredukowane w stosunku do i tak bardzo niskiej przeciętnej.

Wśród osób deklarujących posiadanie 2—3 godzin czasu dziennie kobiety są proporcjonalnie prawie 3-krotnie rzadziej reprezentowane niż mężczyźni — są natomiast niezwykle silnie reprezentowane wśród osób nie posiadających praktycznie możliwości wypoczynku. Nadmierne obciążenie pracą, wynikające z łączenia dwóch etatów (etat pracy zawodowej i „etat” pracy domowej), rodzi specyficzne zjawisko, jakim jest chroniczny brak snu. Wiele osób, zwłaszcza pracujących w systemie 3-zmianowym w sen przeznaczają zaledwie do 6 godzin (52 proc. pracowników z wykształceniem podstawowym w tym głównie kobiety wielodzienne). Ten stan rzeczy jest w dużej mierze wynikiem specyfiki zawodowej załóg przemysłu lekkiego (60 proc. kobiet) charakteryzującej się relatywnie niższym ich poziomem wykształcenia i społeczno-kulturalnym. Powoduje to zachowywanie w życiu rodzinnym pracowników tego przemysłu tradycyjnego podziału zajęć zbytnio obciążających kobiety pracujące zawodowo. Mężczyźni natomiast tradycyjnie, wspierani ponadto tradycją, odmawiają wykonywania różnych koniecznych obowiązków domowych, przerzucając je na barki kobiet. Podobnie postępuje młodzież, która, traktując jako powinność pracę w produkcji, stara się uwolnić od udziału w pracy domowej.

Czynnikiem wywołującym wyjątkowo destruktywny wpływ na czas wolny jest praca nocna. Praca nocna — zwłaszcza kobiet — stanowi obecnie problem wymagający nader poważnego potraktowania. Wśród pracujących w tym systemie w przemyśle lekkim, 90 proc. ocenia go jako wyraźnie bardziej uciążliwy od innych systemów pracy, a 57 proc.



Fot. Włodzimierz Parys

uważa, że tego typu organizacja pracy jest zbyt uciążliwa.

W praktyce pracę nocną stosuje się w wielu przedsiębiorstwach i to nie tyle ze względów technologicznych, co ze względów ekonomicznych — dążenia do zwiększenia produkcji i możliwe pełnego wykorzystania zdolności produkcyjnych. Nie sposób naturalnie negować ekonomicznej roli trzeciej zmiany. Wielozmianowość prowadzi bowiem do obniżenia kosztów produkcji przez relatywne zmniejszenie kosztów stałych, zwiększenia ilości produkcji (istotne zwłaszcza w przypadku produkcji o przeznaczeniu rynkowym), pozwala osiągnąć lepszy stopień koncentracji nakładów inwestycyjnych przez zmniejszenie tytułów inwestycyjnych. Poprzez zwiększenie zmianowości staje się także odpowiednio niższy koszt miejsca pracy. Ale nie można pominąć okoliczności, że praca w nocy wiąże się z odwróceniem ustalonego cyklu życiowego, pozostaje zawsze w niezgodzie z naturalnym rytmem biologicznego organizmu i chociażby była wykonywana stale, nie prowadzi bynajmniej do zmiany tego rytmu, a tylko zmusza człowieka do przyzwyczajania się do utrudnionych warunków pracy. W okresie nocnym nasila się zmęczenie, co powoduje m. in. spadek wydajności pracy i jakości produkcji, wzrost wypadków, zmniejszenie zainteresowania pracą itp.

W istocie rzeczy skracanie czasu pracy jest najbardziej bezpośrednim sposobem zwiększania czasu wolnego, ale nie jest to sposób jedyny i najskuteczniejszy na

dłuższą metę, toteż nie należy tutaj jego roli absolutyzować. Powszechne skrócenie czasu pracy pozwoli zwiększyć czas wolny zaledwie o kilka godzin tygodniowo, w najlepszym zaś razie o godzinę lub dwie dziennie. Poza tym jest to jeszcze kwestia przyszłości. Tymczasem 2—3-krotne zmniejszenie nakładów czasu na komunikację, gospodarstwo domowe itp., pochłaniających od 4 do 6 a nawet więcej godzin dziennie, pozwoliłoby już obecnie, przy aktualnym wymiarze czasu roboczego, uzyskać od 2 do 4 godzin wolnego czasu dziennie.

Bez odpowiedniego wydatnego przyspieszenia rozwoju usług, trudno będzie u nas mówić o osiągnięciu poważniejszych zmian na korzyść czasu wolnego, mimo nawet znacznego skrócenia ustawowego czasu pracy. Bo, jeżeli nawet uzyska się w drodze

POLSKA i „BIAŁA” ROSJA

Są dzisiaj i tacy myśliciele, którzy głoszą, że przedmiotem zainteresowania historii nie jest bynajmniej przeszłość, że zajmuje się ona po prostu człowiekiem w czasie, niezależnie od tego, jaki jest ten czas: przeszły, teraźniejszy czy przyszły. Wątpliwie, czy kiedykolwiek jednak ambicją historyka było reagować na wielkie problemy współczesności, zdolała się przekształcić w futurologię i zechciała zrezygnować z ambicji wyjaśniania spraw teraźniejszych w kategoriach genetycznych. Bo i pocóż miałyby to czynić?

Jubileusz XXX-lecia Polski Ludowej podburza historyków do żywszego niż kiedykolwiek zainteresowania się tymi procesami i zdarzeniami z przeszłości, które legły u podstaw nowej „socjalistycznej” rzeczywistości w naszym kraju. Ale nauka historyczna nie ogranicza swojej badawczej perspektywy, nie porzekała więc badaniu tego wszystkiego, co bezpośrednio warunkowało i poprzedzało odrzucenie się niepodległej Polski w jej nowym, socjalistycznym kształcie, ale sięga dalej wstecz, do spraw dawniejszych, których jednak związki ze współczesnością są niezmiernie istotne dla zrozumienia naszych czasów. Do takich właśnie wielkich problemów mających odniesienie do naszej współczesności, należał dzieje socjalistycznej rewolucji w Rosji.

Rosja czerwona — Rosja Lenina i rewolucyjnej partii bolszewików: o tym, jakie było jej stanowisko wobec polskich dążeń niepodległościowych wladom od dawna. Ale przecież nie sposób w pełni zrozumieć znaczenia wielkiego Października dla Polski, jeżeli nie pozna się i drugiej strony medalu, nie uzyska się udokumentowanej odpowiedzi na pytanie, jak do tych samych żywotnych spraw Polaków odnosili się te siły społeczne i polityczne w Rosji, które Październik zniósł z powierzchni ziemi, zarówno Rosja carska, jak jej kolejni spadkobiercy, różni Kiereńscy, Koltzowie, Denikini i inni. Sprawa jest niebagatelna, tym bardziej, że obroty wokół niej różne mity i sady bez najmniejszego pokrycia, które do dziś są orężem współczesnego zachodnioeuropejskiego antykomunizmu. Rzecz bowiem w tym, że różni wyrzuceni z siódma politycy i carsy generalowie, skupieni w latach międzywojennych w różnych ośrodkach „białej” emigracji rosyjskiej, chętnie chwytali za półprawdy, aby „wytłumaczyć” Polakom, że to wcale nie Lenin i jego partia, ale właśnie oni, przedstawiciele „białej” Rosji, z całego serca, szczerze pragnęli odrodzenia się niepodległego państwa polskiego. Dzisiejsza nauka historyczna konfrontuje te i tym podobne enuncjacje ze źródłami, powstałymi w burzliwych latach rewolucji i wojny domowej w ZSRR i nawet... nie wyraża swego zdziwienia, że w tamtych dokumentach nie ma ani śladu tego rodzaju dążeń. Jest natomiast aż nadto dowodów wskazujących, że czołowym, a nawet i mniej wybitnym przywódcą „białej” Rosji nie śniło się odbudowanie niepodległej Polski, a jeżeli rzucali oni czasem jakieś słowa w tej sprawie, były to niczym nie poparte, mgliste obietnice, mające na celu pozyskanie polskiego poparcia dla walki z rewolucją socjalistyczną.

O tych i innych sprawach traktuje bardzo wiele prac historycznych z których wiele ukazało się w ostatnich latach. Do książek E. Burdżalowa, W. Nadjusa, W. Gostyńskiego, M. Toporowicza i innych dochoodzi dziś interesująca praca Adolfa Juzwenki „Polska a „Biała” Rosja” (od listopada 1918 do kwietnia 1920 r.) (Ossolineum 1973), ogłoszona w serii rozpraw Instytutu Historii PAN, książka niezmiernie interesująca, tym ciekawsza, że obejmuje okres bezpośredniego po Rewolucji październikowej, w której w dzieje wojny domowej i kontrowolucji. Oczywiście głównym przedmiotem zainteresowania autora jest sprawa oceny polityki polskiej wobec „białej” Rosji, zagadnienie naderwzajemnej kontrowolucji, skoro po dziś dzień nawet w poważnej literaturze funkcjonują różne poglądy w tej sprawie, by wskazać na jeden, orzeczony ówczesnej Polsce znaczenie jednej z głównych sił kontrowolucji i interwencji, oraz przeciwny, sformułowany przez... A. Denikina, jakoby Polska... uratowała rewolucję socjalistyczną. W swych analizach, rozważaniach historyk dokumentuje poglądy, że stanowisko polskich kół rządowych, bynajmniej nie życzliwe do sił rewolucji, było jednak naderwzajemne, znaczna rezerwa w stosunku do sił kontrowolucyjnych i że przez wcale długi czas strona polska opierała się na skrajnej koalicji i starała się nie udzielać swego poparcia wojskowemu działaniu sił kontrowolucyjnych.

Przy okazji omawiania tych kontrowersyjnych spraw raz po raz na kartach książki A. Juzwenki pojawiają się naderwzajemne informacje o tym, jak rzeczywiście „Biała” Rosja odnosiła się do Polski i Polaków, nawet wówczas, kiedy państwo polskie było już oczywiście faktem, co zaważyło na tym, że ostatecznie nie doszło do porozumienia między Polską a rosyjską kontrowolucją. Złożyło się na to wiele przyczyn, oddziaływało na to między innymi obawy, że poparcie mocarstw dla Polski przyniesie, z chwilą gdyby doszło do zwycięstwa „białej” Rosji, a w znacznej mierze świadomość, że „Biała” Rosja dopuszczała się co najwyżej istnienia polskiego państwa w granicach dawnych „przywilejów” guberni spogladana na jego istnienie niechętnym okiem, „a często kwestionowała nawet prawo Polski do niepodległości”.

JÓZEF PENC

LEKTOR

Prawie dwa lata żył we troje w Pa-
ryżu. Następnie wzięli niankę i od tej
pory Kocur rzucał się na powrót w wir
pracy, następnie dołączała do niego
wszystko jedno gdzieś, lub wracała ra-
zem z nim, późno w nocy.

Nie przyszło jej na myśl, żeby przed
pójściem do łóżka zajrzeć do śpiącego
dziecka. Przeważnie Alain siedział do ma-
łego sam.

Kupili i przerobili Nonnettes, jeździ-
li tam na każdy weekend, a ona wy-
korzystywała czas głównie na pracę.

— Rozumiem, co chciała przez to po-
wiedzieć — mruknął.

Rabut wstał, patrząc na zegar ścienny.
Na biurku odezwał się dzwonek.
Podniósł słuchawkę.

— Tak. Proszę połączyć. Jest jeszcze
tutaj.

I podając Alainowi aparat rzekł:

— Pańska redakcja.

— Halo, Alain? Tu Borys. Już od pół
godziny usiłuję cię złapać. W domu u
ciebie jakaś pocztowa kobieta, której
głosu nie poznałem, powiedziała, że
odebrała jakiś telefon i biegła wypa-
dnie do domu. Mówiła o adwokacie. Za-
dzwoniłem do Helbiga, ale nie było go
w domu. Kiedy wreszcie go znalazłem,
poinformowałem mnie, że jesteś u Rabuta.

Mam nowe wiadomości, prawie od
godziny. Komisarz Roumagne przybył
tu z dwoma ludźmi. Okazał mi papier,
podpisany przez sędziego śledczego i
zainstalował się w twoim gabinecie.

Skrutulatnił przeszukał wszystkie szu-
flady. Potem zażądał ode mnie listy
personelu. Zawiadomił mnie, że chce
przesłuchać wszystkich, ale długo to nie
potrwa. Upierał się, żeby zacząć od te-
lefonistek.

— Zaraz tam będę.

Powiesił słuchawkę, zwrócił się do
Rabuta, który się niecierpliwił.

— Komisarz Roumagne z dwoma po-
licjantami jest w moim gabinecie. Prze-
szukał moje szuflady i przesłuchuje
mój personel. Upierał się, żeby zacząć
od telefonistek.

— Nie mówię panu?

— Myśli pan, że podejrzuje któregoś
z moich współpracowników?

— W każdym bądź razie wyruszył na
polowanie i nie go nie powstrzyma.

— Dziękuję, że pan przyszedł. Niech pan
próbuję odnaleźć naszego mężczyznę.

Naszego mężczyznę? Wrażenie miało
w sobie tyle ironii, że Alain nie mógł
powstrzymać uśmiechu.

— Przydałby się naniu kieliszek. Z
bramy na lewo znajdzie pan bar z tra-
fiką.

Alain miał do niego pretensje. Miał
pretensje o wszystko, o formę w jakiej
wezwał go do siebie, o to że powtórzył
mu słowa Kocura, o to, że przypominał,
iż przydałby mu się kieliszek.

Ze spuszczonej głową czekał na win-
de, po czym istotnie znalazł się przed
kontuarem małego baru.

— Podwójna scotch.

— Co?

— Podwójna whisky, jeśli pan woli.

Robotnicy w fartuchach przyglądali
mu się z ciekawością. Nie miał ochoty
na to spotkanie z Roumagnem. On też
się domyślił po jego wyglądzie, jak
spędził noc.

Nie odczuwał wstydu. Był wolny.
Przez całe swoje życie prowokował lu-
dzi, budził zgrozę, umyślnie, dla
sportu.

Czemuż więc nagle czuł zażenowanie,
że ktoś patrzy mu w twarz? Nie nie
zrobił. Nie ponosił żadnej odpowiedzial-
ności, za to, co się stało. Tysiące me-
żów sypia ze swoimi szwagierkami, to
różne znane. Młodsze siostry wykazują
tendencję do podkradania tego, co po-
siada starsza.

Adrianna nigdy go nie kochała i miał
to gdzieś. Może i Kocur też nigdy go
nie kochała?

A ostatecznie, coż znaczy to słowo?
On sam sprzedaje co tydzień milion egz-
emplarzy o miłości. O miłości i seksie.
To jest to samo.

Nie lubił czuć się sam. Nie dlatego,
że czuł potrzebę wymiany myśli, ani
też potrzebę uczucia.

— Na ulicę Notre-Dame-de-Lorette! —

rzucił do szofera, zatraskując drzwi
taksówki.

A więc potrzebę czego? Czyjeś obec-
ności, w sumie pierwszego lepszego to-
warzystwa. Samotni starcy mają psa,
kota, kanarkę. Niektórzy zadowalają się
czerwona rybką.

On nigdy nie uważał Kocura za czer-
woną rybkę, ale raz jeszcze patrząc na
przeszłość nowym spojrzeniem, zdawał
sobie sprawę, że dla niego była to
przede wszystkim jej obecność. W ba-
rach, w restauracjach, w samochodzie.
Po prawej ręce, parę centymetrów od
łokcia.

Rano i po południu oczekiwał od niej
telefonu i denerwował się, kiedy się
spóźniała. Ile razy, przez te siedem lat
prowadził prawdziwą rozmowę?

W momencie zakładania tygodnika,
rozmawiał z nią o tym, pewnie. Był
pełen entuzjazmu, pewien sukcesu. Ona
patrzyła na niego z uprzejmym uśmie-
chem.

— Co o tym sądzisz?

— Czy czegoś takiego nie było?

— To nie to samo. Zdaje się, że nie
rozumiesz elementów osobistych, ele-
mentów intymnych. Dziś ludzie usiłu-
ją wszystko indywidualnie robić, dlate-
go że wszystko fabrykuje się seryjnie,
z naszymi przyjemnościami włącznie.

— Możliwe.

— Przystąpisz do zespołu?

— Nie.

— Dlaczego?

— Żona szefa nie powinna stanowić
części personelu.

Było także Nonnettes. Pewnej soboty
po południu, kiedy waleśali się po wsi,
odkryli ten dom. W niedzielę, w karcie-
mie, w której się zatrzymali snuli już
plany.

— Mieć dom na wsi to dla nas ko-
nieczność, kapujesz?

— Możliwe. Nie jest to trochę daleko
od Paryża?

— Dość daleko, żeby zniechęcić nu-
dziarzy. Nie dosyć, aby odstraszyć na-
szych przyjaciół.

— Czy zamierzasz zapraszać wiele o-
sób?

Nie protestowała, pozwalała mu robić,
co mu się podoba, szła za nim. Ale nie
dzieliła jego entuzjazmu.

— Panu, niech pan zatrzyma. Za tym
czarnym wozem.

— To pański?

— Tak.

— Zdaje się, że za przednią szybą wi-
dać dwie lub trzy kartki.

Tak też i było. Zafasował dwa man-
daty. Kluczyk tkwił w tablicy rozdziel-
czej. Upiętno, sporo czasu nim motor
zaskoczył. Przyglądał się lokalowi, w
którym, z wyjątkiem ostatniej nocy,
nigdy jego noga nie postąpiła. Wśród fo-
tosów rozebranych dziewcząt, rozpoznał
Bessie, w środku, na zdjęciu większego
formatu, niż inne, jak gdyby była ona
gwiazda.

Dotarł do ulicy Marignan i wjechał
w podwórze. Wahał się, czy iść na górę.
Minęło południe. Pomieszczenia na par-
terze były zamknięte.

Czyż doszło do tego, że ma stracha
przed zastępcą komisarza policji śled-
czej?

Wszedł do windy. Korytarze, więk-
szość biur były puste. W swoim gabine-
cie, do którego drzwi były szeroko ot-
warte, znalazł Borysa, który na niego
czekał.

— Wyszedł?

— Jakies dziesięć minut temu.

— Znalazł coś?

— Nie mi nie mówili. Nie jesteś głod-
ny?

Alain wydał wargi.

— Wyglądasz, jak z krzyża zdjęty.

— Mam kaca, zwyczajnie. Pójdę chy-
ba z tobą coś przelknąć, a przy okazji
opowiesz mi, jak było.

Był przygotowany na to, że zastanie
w biurze nieład. Nie było go ani śladu.

— Twoja sekretarka zrobiła wszędzie
porządek.

— Jaki on był?

— Komisarz? Uprzejmy. Na biurku
leżał stos zdjęć tych, które odrzuciłem,
ponieważ były zbyt śmiałe. Przeglądał

je dobre dziesięć minut. Z niego to też
niezła swinia!

ROZDZIAŁ VI

W okolicy placu Saint-Augustin zna-
leźli restaurację, której nie znał, wyglą-
dającą na oko jak bistro, z serwetkami i
zasłonami w czerwone kwadraty, z du-
ża ilością miedzianych naczyń zamiast
dekoracji. Patron, w stroju szefa ku-
chini, w wysokim białym czepku, cho-
dził od stołka do stołka i proponował
swoje menu.

Dostali stołek w rogu, mimo że było
pełno ludzi. Alain nie znał nikogo z je-
dzących i prowadzących rozmowy gości.
Nie o nich nie wiedział. Miał swoje
własne życie, swoje troski, swój świat,
w którym krążyli z największą powa-
gą, jakby tylko to było ważne.

Po co mu było to wszystko? Mógłby
na przykład wpaść na pomysł zjedzenia
obiadu w domu, we dwójkę z Borysem.
Mógłby zorganizować swoje życie in-
aczej.

W pewnym okresie próbowali nawet
tego z Kocurem.

Ona uparła się, żeby gotować. Jadali
razem i zasiadali naprzeciwko siebie,
przed szeroką oszkloną ścianą, nad któ-
rą wznosiły się dachy Paryża.

Niekiedy Alain patrzył, jak porusza-
ją się usta Kocura. Widział, że mówi,
ale słowa albo do niego nie docierały,
albo też nie miały żadnego sensu. Zda-
wało mu się, że są odcięte od życia,
zapadają się nagle w świat nierealny,
zastyły, z którego usiłował wyrwać się,
ogarnięty paniką.

Nie był to tylko sen, który pojawiał
się w nocy. Czuł potrzebę ruchu, chciał
słyszeć hałas, widzieć krzątające się i-
stoty ludzkie, być otoczonym przez tłum.

Otoczony, oto właściwe słowo. Był
centrum, główną osobistością.

Jeszcze sam się do tego nie przyzna-
wał. Zawsze żył w gronie kumpli i był
może dlatego, z leką, że zostanie sam,
przedłużał wieczory do późna w noc.

Kumple? Czy też raczej niewielki
dwór, który sobie stworzył, żeby się za-
bezpieczyć?

Podano im na wózek wodę i zmu-
szal się do jedzenia przy wydatnej po-
mocy czerwonego wina.

— O co on ciebie wypyttywał?

— Mniej więcej o to samo co innych.

Przed wszystkim, czy żona często
przychodziła do ciebie do redakcji, albo
po ciebie. Odpowiedziałem, że nie, że
telefonowała, że dołączaliśmy do niej
na dole, albo w restauracji. Następnie
czy znalazł swoją szwagierkę. Odpowie-
działem prawdę. Nigdy jej nie widzia-
łem.

— Przyszła tu raz, trzy lata temu.

Chciała zobaczyć miejsce, gdzie spe-
dzałem największą część dnia.

— Byłem wtedy na urlopie. Pytał
mnie również, czy nie masz notosu z
numerami telefonów osobistych. Masz
taki?

— Nie.

— Tak właśnie powiedziałem. Potem
postawił ostatnie pytanie. Przepraszam,
że je powtórzę. Czy wiedziałem, że
twoja żona ma kochankę? Czy pośród
twoich współpracowników widzę kogoś,
kto mógłby pełnić tę rolę? A ty wi-
dzisz kogoś?

Odpowiedział z niechęcią:

— Mógł to być pierwszy lepszy.

— Następnie wrywał do siebie te-
lefonistki. Pierwsza przyszła Maud.

Wiesz, jaka ona jest. Chciał,
żebym asystował przy wszystkich prze-
słuchaniach, być może naumyślnie, że-
bym ci wszystko powtórzył. Z Maud
wyglądało mniej więcej tak:

— „Od dawna pracuję pani u pana
Poitaud?”

— „W przyszłym miesiącu minie czte-
ry lata.”

— „Pani jest mężatką?”

— „Panna bezdzietna, nie mieszkam z
kochankiem, a ze starą ciotką, której
jest wszystko jedno.”

— „Czy jest pani jedną z kochanek
pana Poitaud?”

— „Chce pan wiedzieć, czy od czasu
do czasu sypiam z Alainem. Tak. Od
czasu do czasu.”



Dalszy ciąg ze str. 1

wreca bukiet i za każdym razem
wskazuje ofiarodawcę. Obdarowana
kwiatkiem uśmiecha się i składa mu
głęboki ukłon. Ten ceremoniał powta-
rza się raz po raz i wygląda dość za-
bawnie.

Nazajutrz, ciąg dalszy zwiedzania. Na
ulicach dużo kobiet, w ubiorach prze-
waża zdecydowanie kolor czarny. Więk-
szość nosi długie czarne suknie, mło-
de kobiety noszą też czarne płaszcze do
kolan, przeważnie z krempliny. Wiem,
wiem, dla mężczyzn to oczywiście
śmieszne drobiazgi, ale kobiety docenia-
ją ten przekaz aktualności syryjskiej mody.

A zatem dalej — wszystkie, mimo pie-
kielnego żaru — 30 stopni C w cieniu!

— noszą obowiązkowo pończochy. I to
bezowe. Wymogi mody? Zwyczaj?

Większość kobiet nosi na głowach czar-
ne chustki, związane w sposób pozwalają-
cy na łatwe i szybkie zasłonięcie twa-
rzy. Odnosiłam jednak wrażenie, że
traktują je raczej jako rekwizyt, gdyż
tylko nieliczne kryły twarze. Jeszcze
szczegół: białych chust do przesłaniania
twarzy używają najczęściej kobiety
starsze. Zwyczaj wymyślony z pewnością
przez mężczyzn. Żeby się nie po-
mylić: czarna chusta — młoda kobieta,
biała — starsza. Tak oto pan wsze-
lkiego stworzenia ułatwia sobie życie.

Gros społeczności na ulicach, jak
zresztą we wszystkich innych miej-
scach publicznych, stanowi balastowa
i rozgadana pleć brzydka: kobiety miej-
skają szybko, milcząco, poważnie,
bez zalotnych spojrzeń. Mężczyźni bry-
lują też na bazarach, oni sprzedają i
kupują, zachwytają towar, dobijają tar-
gów. Temu orientalnemu misterium
kupna i sprzedaży towarzyszą żywa ge-
stykulacja i wartki potok słów. Na
kiermaszu wyrobów przemysłowych i

rekodzieleńskich tłoczno. I tutaj rej
wiodą mężczyźni. Kiermasz jest swego
rodzaju wydarzeniem, okazją do spo-
kań towarzyskich, wymiany poglądów
na takie czy inne tematy, zaprezen-
towania nowej kreacji, i tak dalej. Dla-
tego też i kobiet tu więcej, ale wyłąc-
nie w towarzyskim towarzystwie i gródmki
dzieci. Stroje tradycyjne, orientalne i
europejskie — pół na pół.

Syryjskie eleganci malują paznokcie
na rudo, łącznie z koniuszkami palców.

JESZCZE Z ZASŁONĄ NA TWARZY

Szczególne rodzaje elegancji widziałam
na prowincji, w drodze do miasta Ha-
ma: dwie młode i piękne Syryjki, u-
brane barwnie i bez zasłony na twa-
rach, miały po złoty kołczyku w
nozdrzach a podbródku, czoła i jeden
policzek zdobity im delikatne tatuaże w
gwiazdki i krzyżki. Co kraj, to oby-
czaj.

Hama, jest to starożytne, dziś ponad
stuletnie miasto, gdzie zdumiewają-
cym zabytkiem są dwa koła wodne,
czynne nieprzerwanie od dwóch tysięcy
lat! Był więc rok 26 przed naszą era,
kiedy czyjaś dłoń nadała im pierwszy
ruch. I obracają się do dziś. Ten fe-
nomen wzdłuż rzeki.

Z Halebu do Palmiry jedziemy auto-
karem przez Pustynię Syryjską. Dobra,
asfaltowana droga. Tutaj spotyka nas
zabawna przygoda.

Na trasie wyprowadza nas dykawat-
ka z dykawatami z dykawatami arabskiej
rodziny. Cała góra tobolek, a na nich
głowa rodziny, matka, córki i krewni.

nóż skalistych wzgórz, jest przepiękną
oazą, ukrytą w cieniu figowych palm.
Starożytna część Palmiry odkopano już
całkowicie z piasków pustyni i dziś
miasto to jest jednym z najświetniej-
szych i najpiękniejszych w świecie
pomników archeologii. Należy wspo-
mnieć, iż w pracach wykopaliskowych
brała także udział polska ekipa nauko-
wa pod kierunkiem prof. Michałowskie-
go. Szczególny zachwyt turystów wbu-
dza wiekowa świątynia. Jej sklepienie,
wyciosane w jednolitym bloku kamie-
nym, zdobią wyobrażenia planet i zna-
ków Zodiaku — prawdziwe arcydzieła
artystycznego kunsztu starożytnych
mistrzów. Albo starożytny teatr usytuowa-
ny w samym centrum miasta. Z boga-
tą historią Palmiry wiąże się imię kró-
lowej Zenobii. I choć w swych przedzie-
jach miasto uległo przemocy Rzymian
a później pochłonęły je lotne piaszki pu-
styni, sława królowej Zenobii przetrwa-
ła stulecia. Wiekowe przekazy głoszą, że
imię Zenobia było synonimem kobiety

o długich włosach. Echa tej legendy
można dziś odnaleźć na starożytnych
plaskorzeźbach nagrobnych. Wyobrażają
one głowy pięknych Syryjek ozdobione
długimi, kunsztownie ułożonymi włosami.

Syryjczyce są muzułmanami. Kobie-
tom wolno wchodzić do meczetu, a
jakkże, wolno im się także modlić, ale
już nie wolno im zajmować miejsc w
pierwszych rzędach. Mahomet pozosta-
wia ten przywilej wyłącznie mężczyznom.

Nawet w Damaszku, w stolicy kraju,
choć na ulicach spotyka się o wiele
więcej młodych kobiet ubranych na
wzór europejski i bardziej emancyp-
owanych niż w innych wiejskich mia-
stach kraju, to i tu jednak dominuje
anachroniczny „model” kobiety — cie-
nia męszczyzny.

Zatuje, że będąc w Halabie nie mo-
głam obejrzeć jednego z najbardziej in-
teresujących rejonów Syrii — doliny
Eufratu, będącej niemym świadkiem
wszystkich etapów rozwoju kultury
ludzkości. Ani też budowy wielkiej ta-
my na nieujarzmionym Eufracie, która
stanie się podstawą industrializacji
kraju. Decyzja budowy tego gigantycz-
nego kompleksu elektroenergetycznego
na Eufracie zapadła w 1963 roku, gdy
do władzy doszła Socjalistyczna Partia
Odrodzenia Arabskiego. W 1966 roku
Syria zawarła porozumienie ze Związ-
kiem Radzieckim w sprawie budowy ta-
my, jednakże „szczęśliwowa wojna” w
1967 roku opóźniła rozpoczęcie pra-
ce. Obecnie na budowie ma trzy zmiany pra-
cujące ponad 10 tysięcy miejscowych ro-
botników. Wraz z nimi pracują radziec-
cy specjaliści, syryjscy oraz inżynierzy
i technicy z innych krajów arabs-
kich, głównie z Egiptu.

Interesującym zjawiskiem w Syrii
jest przedziwne pomieszanie różnych
kultów religijnych. Kilkadziesiąt kilo-
metrów od Damaszku leży Maaluli, nie-
wielkie miasteczko wzniesione w stok
góry. Jest ono ważnym ośrodkiem kul-
tu religijnego. Tu, po raz pierwszy w
Syrii, widziałam dwa kościoły wienzo-
ne krzyżami: jeden był rzymsko-kato-
licki, drugi — sekty maronitów, będą-
cej chrześcijańskim ugrupowaniem reli-
gijnym. W pieczarach okolicznych gór
chronili się niegdyś prześladowani

SAGA RODU ZRÓDLAKÓW

Dalszy ciąg ze str. 1

Trochę był zażenowany tą naszą niezapowiedzianą wizytą. Ale żona szybko dokonała formalności prezentacji. Nie przypadkiem mówią o niej w zakładach „WOLA”, że słowa u niej „nie trzeba kupić”. Taka już jest — obrotna przy maszynie, a jeszcze bardziej w języku. Toteż i mąż odzywał się niewiele. Wykorzystał jedynie okazję, kiedy żona poszła do kuchni przygotować mu kawę.

— O, przy tym mieszkaniu to się narobiłem. Najpierw był remont, a potem jak się urządzaliśmy to dopiero mi dało w kość. Tę ściankę działową, to sam stawiałem. Żeby każdy miał swój kąt. Jak się pokłóć z żoną, to mogę spać w innym pokoju, a żona z dziećmi w drugim — dodaje z uśmiechem.

No, ale żona w dalszym ciągu nie jest zadowolona.

— Chciałabyś, Stefania, jeszcze więcej, no nie?

— Oczywiście — w tym roku musimy zrobić łazienkę. I to nie taką na węgla, tylko na elektryczny grzejnik z tą nocną taryfą. Będę miała przez cały czas ciepłą wodę w kuchni, bo już mi zbrzydło ciągle grzanie wody do zmywania garów. Dla ciebie to wszystko jedno, bo gary zmywamy z córką. Chociaż trzeba ci przyznać, że od kłusek i ciasta to ty jesteś lepszy.

Te „wymówki” powtarzały się często. Pani Stefania uważa siebie za coś „lepszego”, ona reprezentuje przecież stary włókienniczy ród. Mąż trafił do włókiennictwa dopiero za jej namową. Przedtem był piekarzem. A kiedy już trafił do zduńskowskiej „bawelny”, to dopięła swego i tak mu „suszyła” głowę, aż skończył podstawówkę, potem kursy i już od dziesięciu lat jest majstrem. I to dobrym. Na dowód tego pani Stefania wyciąga z rodzinnych szparagów dyplom i odznakę orzodownika pracy.

— Męża mam, mimo wszystko jak złoto — mówi pani Stefania. — I do tańca i do różańca. A skoro już o tańcu mowa, to muszę się przyznać, że „swojego” poznałam na zabawie, w „bawelninie”, tam gdzie Kazik do dziś pracuje.

— A ja go mam za syna, nie za zięcia — wtrąca babcia Zródlakowa. — On jest lepszy dla mnie jak mój syn. On jak czasem jednego wypije, to jest śmiały, umie gadać, taki fajny, że ino. A jak przyjdzie narobić, to się wstydi, taki nieśmiały. Czego się Kazik wstydzisz?

— On się nie wstydi, babciu, — ratuje sytuację żona. On się nie wstydi. Tylko że on ma gadać, jak ja wszystko za „jego” powiem.

— Bo ty, Stefania, jesteś letka w mowie, a jażem ciężki i bez to.

— Ale jak przyjdą koledzy — dogaduje małżonka — to umiesz mówić.

Całymi godzinami dyskutujecie o tym czy będzie ilość, czy będzie jakość, czy to czy tamto. Nawet człowiek słowa wtrącić nie może.

— To zupełnie tak jak z moim starym — dodaje babcia. — Tylko, że mój to jeszcze w karty lubił pograć. Bronić mu nie broniliam, bo tyle było jego. Przecież się całe życie narobił jak głupi. Po dwanaście, czternaście godzin dziennie. To jak się w sobotę urwał na karty, nie mogłam marnego słowa powiedzieć. Zresztą i dziś lubi pograć.

Na te słowa nie wytrzymał już najstarszy z rodu — 73-letni Józef Zródlak. Już siódmy rok jestem na emeryturze. Ale dwóch pasji się nie pozbył — kart i królików.

— Nawet w tym tygodniu — chwali się pan Józef — wygrałem dwadzieścia złotych od zięcia i od syna. Trochę przegrał jeden, trochę drugi, no a ja wygrałem. Przecież oni mają więcej, to mogę ich trochę ograć, a zresztą to i tak w rodzinie zostaje.

A rodzina to liczna. Pani Stefania szybko wlicza tych „co we włóknie robia”. Doszła już do dwudziestu osób.

— Jakby tak wszystkich zebrać, to na jednej zmianie byłoby komu pracować. Prawda Kazik? Jakby tak wszystkich Zródlaków, całą rodzinę ustawić, to i przedziałnia by pracowała i kłania a nawet i warsztat mechaniczny, bo jest nas sporo.

Rodzina Zródlaków spotyka się często. A okazji nie brak. Imieniny, mniejsze czy większe święta — to się schodzą w jednym domu. Raz u tego raz u innego. No i wtedy dopiero zaczyna się rodzinna saga. A prym oczywiście wiedeł stary Zródlak, ten co to jeszcze przed tamtą wojną „na kółku u Żyda szpulował”. A pan Józef wcale nie jest pierwszą włókienniczą generacją w tym rodzie. Jego ojciec był starym „weberem na Osmolinie”. (Osmolin — to dzisiaj jedna z dzielnic Zduńskiej Woli.)

— Ja zaczynałem — uzupełnia pan Józef — dokładnie w trzynastym roku, 1913. To i tak na jedno wychodzi. Bo urodziłem się w dziewiętnastym. Zaczynałem u Arleta. Potem była wojna, potem znowu wróciłem do Zduńskiej Woli, no i ożeniłem się.

— O, z tą żeniadką, to nie było tak łatwo — wtrąca pani Maria Zródlak, równie „lekka w mowie” jak jej córka. — Zanim żeśmy się pobrali, musieliśmy pojechać do Niemiec, na roboty. Pracowaliśmy cały rok i udało nam się uskładać 250 marek. Panowie wiedzą, co to było — całe 500 złotych „przedwojennych”. Za te pieniądze, to ja sobie kupiła wyprawę, mąż garnitur i wesele żeśmy wyprawili. Potem mąż poszedł do fabryki, a ja została w domu. No, ale przyszło na świat jedno dziecko, drugie, trzecie... i musiałam iść do roboty, bo w domu nie było co do głęby

włożyć. Stenla już była trochę starsza, to przypilnowała mniejszych, bo przedszkoli ani żłobków tak jak teraz, to nie było.

— Ile razy to ja bicie od mamy dostawałam — przynajmniej pani Stefania. — Byłam sama jeszcze mała, to i chciało się polatać. Braci zamknęłam w domu — a tu jeden coś wylał, drugi krzywdę sobie zrobił i mama z tych nerwów, to i skórę zwała. Jak miałam 15 lat — to musiałam pójść do fabryki. Córka ma teraz siedemnaście i mówi: „Mamusiu, bo ja wiem kiedy ja ci pieniądze przyniosę”. Ale ja się cieszę z tego, że ona ma lepiej, byle się tylko dobrze uczyła. Na razie nie mogę narzekać. A i chłopak nie sprawia nam zawodu. Ciągłe powtarza, że on będzie tak jak tatusz mistrzem i krosna będzie naprawiał.

Niezbyt chętnie pani Stefania wdaje się w rozmowę na temat córki. Widać wyraźnie, że jest trochę zawiedziona, iż córka poszła do „ogólniaka”, a nie jej śladem. Tak po cichu ma jeszcze nadzieję, że może po ma-

turze uda jej się skłonić córkę do pójścia na politechnikę. Chciałaby, żeby w rodzinie był pierwszy włókiennik z cenzurem wyższej uczelni, a nie tylko po kursach.

— Do Łodzi niedaleko — zaczyna mówić pani Stefania jakby zgadzając nasze myśli. — Jak będzie chciała to jej pomogę. Tak jak mężowi, który też przez prawie rok do Łodzi dojeżdżał na mistrzowski kurs. Chciałabym żeby tradycja włókiennicza w rodzinie nie zaginęła. Przecież to tak przyjemnie jak się zejść z żoną i mają wspólnie tematy. Jak do tej pory. Pogadamy sobie, pospiewamy...

Dziadkowi Józefowi o śpiewaniu dwa razy nie trzeba było mówić. Odgrzebał natychmiast w pamięci starą zduńsko-wolską piosenkę:

„Nie będę się żenił
Tutaj w Zduńskiej Woli,
Bo każda panienka
Do fabryki chodzi...”

HENRYK POLAK
KRZYSZTOF TUROWSKI



„MAŻEW RAZ JESZCZE”

W związku z ukazaniem się w „Mazowie” artykułu pt. „Mazew raz jeszcze”, niniejszym uprzejmie informujemy, co następuje:

Na terenie województwa istnieje — wskazanych przez Wojewódzkiego Konservatora Zabytków — 30 obiektów zabytkowych, które zasługują na wyłączenie z celów gastronomicznych. W liczbie tej jednak nie wykazano dworek w Upalach. Niemniej jednak zainteresowaliśmy się tą budowlą. Jak się okazało, dworek w Upalach znajduje się w bardzo złym stanie technicznym i w ramach porządkowania miejscowości zostanie wyburzony. Nastąpić to ma w najbliższym czasie.

Przy okazji pragniemy poinformować, że z 30 obiektów, o których mowa wyżej, do adaptowania kwalifikują się tylko 3, tj.: dwór w Wojszycach, pow. Kutno, dworek w Sobocie, pow. Łowicz i pałac w Złoczewie, pow. Sieradz. Obiekty te zostaną przez nas zagospodarowane. Pozostałe zaś, podobnie jak wskazano przez autora artykułu dworek w Upalach, nie nadają się do przejęcia ich i adaptacji na gastronomiczne, z różnych przyczyn historycznych.

Ponadto w planach rozwoju sieci gastronomicznej zakładamy również budowę nowych obiektów z pełnym zachowaniem walorów architektonicznych staropolskich zabudowań. W pierwszym etapie będą to zajazdy w Domaniewicach, pow. Łowicz i w rejonie Tumidaju, pow. Sieradz. Realizacja w latach 1976-77.

W odniesieniu do budowy restauracji w Daszynie uprzejmie informujemy, iż z uwagi na konieczność poprawienia stanu sieci żywieniowej w pierwszej kolejności przy najruchliwszych trasach międzyautostradowych (szczególnie Warszawa-Słask), w miejscowościach turystycznych, wypoczynkowych, o dużym nasileniu ruchu osób przyjeżdżających, budowa lokalu w Daszynie musiała przejść do planu na przyszłą pięcioletkę. Obecnie na skrzyżowaniu tras E-8 i E-16 w Krośniewicach, a więc przy tej samej trasie, co Daszyna, budujemy restaurację i kawiarnię o 140 miejscach konsumkcyjnych. Oddanie lokalu do eksploatacji przewidujemy pod koniec bieżącego roku.

TERESA JACKOWSKA
Wiceprezes Zarządu WZGS

„ROZSZUMIAŁY SIĘ WIERZBY
PLACZĄCE...”

Bardzo zainteresował mnie artykuł Tadeusza Szewera o najpopularniejszej bodaj piosence partyzanckiej ostatniej wojny. Jako ilustracja do artykułu znajduje się zdjęcie dwóch partyzantów. Ponieważ wydaje mi się, że fotostudiuje go z partyzantów — jest mi — znajoma, chciałabym się dowiedzieć — skąd wzięła się ta fotografia.

ALBIN NOWAK

Od redakcji:

Zdjęcie, o które Pan pyta, wzięliśmy z albumu-kroniki walki Gwardii Ludowej pt. „Walka”. Album ten opublikowało wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej w roku 1963. Wszystkie zdjęcia w nim zawarte są autentyczne, z czasów wojny. Część fotostudiuje go z partyzantów — jest mi — znajoma, chciałabym się dowiedzieć — skąd wzięła się ta fotografia.

„WIOSNA”

W ostatnim numerze „Odgłosów” znalazłem całą stronę fotografię p. W. Parysa pod tytułem „Wiosna”. Bardzo mi się ta fotografia podobała — to połączenie wiosenne ubrań dziewczyn, upożycowanych na bogini wiosny, z normalnym ruchem ulicznym, wśród normalnie ubranych ludzi. Uważam ten fotoreportaż za znakomity pomysł.

Szkoda tylko, że nie jest to pomysł p. Parysa i redakcji „Odgłosów”. Widziałam bowiem w telewizji te same sceny z tymi samymi dziewczynami: w Łódzkiej Włodowskiej Dnia, nie informując nas, „podbił” kolegom pomysł, czemu nie napisaliście o tym? Czy to w porządku?

BOŻENA LEWICKA

Od redakcji:

Niestudnie się Pani na nas zżyma. Pomysł był Włodowskiej Parysa i tylko jego. Także nasz kolega rzecz całą zorganizował i zaaranżował z pomocą tancerki Operetki i dzięki uprzejmości dyrekcji Teatru Muzycznego, który udostępnił nam do tego happeningu kostiumy.

Po prostu operator Telewizji pojechał w ślad za Paryssem filmując całą zabawę. Potem — zanim zdążyliśmy fotoreportaż wydrukować (cyki mamy dość dług) — dano te scenki (z odzyskami Włodowskiej Dnia, nie informując nas, słowem kto i dla kogo zorganizował ów happening. Rzecz jest właściwie drobna i nie mamy zamiaru kruszyć o nią kopa, ale skoro Pani pyta — odpowiadamy, że to nie my jesteśmy „nie w porządku”, lecz koledzy z Telewizji.



ODPOWIEDZI REDAKCJI

STEFAN K. Łódź. List Pana w sprawie zespołu „Carmer — Ton” przeczytaliśmy z zainteresowaniem. Cieszymy się, że zespół ten znalazł — jak Pan sam pisze — „mecenasa”. Życzymy zespołowi dalszych sukcesów. Za list dziękujemy.

Mgr JÓZEF PIELKA, Warszawa. Artykuł Andrzeja Makowieckiego poświęcony był sprawom „Estrady Łódzkiej”. Być może z Warszawy pewne sprawy widzi inaczej. Pana list dotyka jednak innych spraw niż poruszał Andrzej Makowiecki i dlatego nie widzimy potrzeby opublikowania go. Poza tym teksty redakcyjne zamawia u nas „Biuro ogłoszeń”. Na sprawy polskiej estrady i rozrywki mamy inny niż Pan podział. Życzymy dalszej pomysłowości w uprawianiu — jak to się Pan wyraził — „Panińskiego „szczęśliwego hobby”.

KONRAD FREJDICH

TEATR

NIEDOKOŃCZONY DYPTYK

Domagamy się często, publiczność i krytyka, aby teatr przemawiał językiem naszego czasu. Nie wolno rzecz jasna tego pragnienia pojmować dosłownie. Współcześnie może przemówić Szekspir w dziewiętnastowiecznym przekładzie Paszkowskiego czy Ulricha; może to być Ulrich w naszych wielkich romantykach; może to być Wyspiański mimo jego nieznosnego modernistycznego języka. Całkiem niewspółcześnie może zabrzmieć ze sceny Bryll czy Bordowiec, chociaż pierwszy urodził się w roku 1935, drugi zaś w 1941.

Jubileusz narodowy aktualizują postulat współbrzmienia teatru z pulsem czasu, w którym żyjemy. Jubileuszy nie wolno bowiem identyfikować z deszczem medalów i orderów, chociaż jest to deszcz bardzo przyjemny. Jubileusze służą raczej naszej identyfikacji w czasie refleksji o miejscu, w którym się znajdujemy i do którego dążymy.

Jubileusz 30-lecia PRL postawił teatry polskie w sytuacji naprawdę niełatwej. Ich kierownictwa artystyczne wychowały, że powinno się w tym zobowiązuje sezonie wystawić dzieło dające odpowiedź na pytanie, czym był fenomen polskiej kultury społecznej zapoczątkowanej Manifestem Lipcowym roku 1944, jakie przemiany dokonały się w naszej świadomości narodowej poprzez rozwój tej rewolucji, jaki jest jej stan dzisiejszy. Nie był to przecież proces łatwy, nie brakło w nim osobistych dramatów ani niebezpiecznych wyrażań, nie brakło momentów trudnych i podniosłych.

Nie ludźmy się: w całej naszej powojennej dramaturgii nie znajdujemy dzieła, które ukazywałoby wielkość i znaczenie tego procesu. Nie znajdujemy go w twórczości Broszkiewicza, Kruczkowskiego, Różewicza, Mrożka choć są to autorzy wybitni. Nie znajdujemy takiego oświecającego dzieła również w naszej powojennej prozie, chociaż i tu nie brak doskonałych najwyżej próby.

Zobligowane jubileuszem 30-lecia PRL teatry łódzkie czynią pilne przygotowania repertuarowe. Nie zaufajmy naszemu dramatopisarstwu Jan Maciejowski z Teatru im. Jaracza i dokonał adaptacji klasycznej już dziś powieści Jerzego Andrzejewskiego „Popiół i dia-

ment”, która tak doskonale sprawdziła się na ekranie w końcu lat pięćdziesiątych. Jerzy Żegalski w Teatrze Nowym sięgnął po graną w Polsce wielokrotnie „Śmierć gubernatora” Leona Kruczkowskiego. Najcenniejszą wydała mi się decyzja kierownika artystycznego Teatru Powszechnego Ryszarda Sobolewskiego, który wprowadził na swoją scenę dwie pozycje współczesnej dramaturgii polskiej, napisane przez stosunkowo młodych, ale sprawdzonych już pisarzy Janusza Krasińskiego (ur. w 1928) oraz Stanisława Grochowiaka (ur. w 1934), są to bowiem autorzy czynni, podlegający nieustannemu rozwojowi. Jeśli nawet ich utwory nie są reprezentatywne dla stanu powojennej dramaturgii polskiej, to trudno przeczyć, jak już wspominałem, wskazać dzieła, które do takiej reprezentatywności mogłoby pretendować.

Przed laty Wanda Karcewska pisała o scenie kierowanej dziś przez Sobolewskiego nazwała ten teatr powszechnym i żywym. „Teatr ten (...) krystalizuje swoje oblicze jako placówka pożądana i bardzo potrzebna w Łodzi, placówka o widowni masowej, o repertuarze dostępnym szerokiej publiczności, takim, którego interpretacja nie zepchnie reżysera w katastrofę pomyłek artystycznych, a widownię nie doprowadzi do niemożliwości właściwego zrozumienia dzieła. Teatr taki w swoich założeniach i ramach może być i teatrem powszechnym, i ambitnym i żywym”.

Słowa tu cytowane brzmią aktualnie do dziś. Teatr Powszechny obrał chyba właściwą drogę decydując się na wystawienie „Szachów” Grochowiaka oraz sztuki Krasińskiego „Wkrótce nadejdą bracia”, mimo bowiem odrębności stylis-

tycznej, wyraźnych różnic problemowych i co tu ukrywać, artystycznych grane w jednym sezonie stanowią dyptyk. Nie sprawdzam tego w programie, ale wydaje mi się, iż widza ma nawet możliwość obejrzenia obu tych spektakli w ciągu jednego popołudnia, gdyż „Szachy” wystawione zostały na scenie kameralnej, na scenie dużej zaś „Wkrótce nadejdą bracia”. Scena kameralna jest w wypadku Teatru Powszechnego pojemem czysto umownym, gdyż nie posiada odrębnej sali widowiskowej i pominięszy oczywiście charakter spektaklu, jednym wyróżnikiem tej sceny są wcześniejsze godziny przedstawień.

„Szachy” i „Wkrótce nadejdą bracia” zrealizowane przez Teatr Powszechny powinno się oglądać łącznie, oba bowiem spektakle mają swoje współbrzmienia, choćby następstwo czasowe akcji. W ten sposób problematyka podjęta w „Szachach” ulega jakby przedłużeniu.

Zacznijmy od „Szachów” w zaskakującej i pomysłowej reżyserii Andrzeja M. Marcewskiego, który stworzył przedstawienie jeśli nie awangardowe, to w każdym razie świeże w teatralnym pomysłach. I widownię i aktorzy znajdują się bowiem na scenie, a pusta, ogromna sala widowiskowa stanowi jakby dziełowe teatrum obok którego rozgrywa się dramat. Jej milcząca obecność jest integralną częścią spektaklu.

Przywykło się odczytywać „Szachy” Grochowiaka jako metaforę wojny. Tego zdania jest także Krzysztof Wołicki, autor wstępu do programu, gdy pisze: „Zastępa Grochowiaka jest właśnie przywrócenie zjawisku wojny powagi godnej spraw pierwszych”. Może to i prawda. Może prawdą jest, jak chce Marta Piwińska, że „tylko wojna w „Szachach” Grochowiaka trwa bez przerwy i jest rzeczywista; ona jednak w tej sztuce jest prawdziwie rzeczywista, ale nie ona budzi grozę, można ją bowiem mimo wszystko zrozumieć”. Ale prawda jest także, że ta na politykę, jak ją nazywa sam Grochowiak, jest w realizacji Marcewskiego sztuką par excellence polityczną. Jest to już bowiem nie partia szachów zdiwaczałego w swej arystokratycznej godności Hrabiego (doskonale kreacja aktorska Jerzego Staszewskiego), który grywa z Baronem ubranym w mundur gestapowca (świetna rola Aleksandra Fogla), ale walka o władzę w momencie dziejowego przełomu. W tej walce przegrzać muszą i Lokaj (Bogdan Wiśniewski) i najbliższe otoczenie hrabiego. Szkoda tylko, że

zwycięzca w tej dziejowej batalii Człowiek jest w interpretacji Piotra Kruczkowskiego nieco papierowy, chociaż zwycięzców nie powinno się sądzić. To też zaufać musimy raczej tej pustej sali widowiskowej, w której ostatni akt sprawiedliwości dziejowej wymierza dogorywającemu światu pałaców nadciągającą zbiorową szarych postaci ze swymi politycznymi i czysto ludzkimi racjami, za które oddać musiał życie drwal hrabiego Solyk (Andrzej Jędrzejewski).

Sceasyjna scenografia Olafa Krzysztofa bliższa jest tradycyjnemu odczuciu „Szachów”, niż tym wartościom, które wydobły z nich Marcewski. Wolałby, przynajmniej, większą umowność, niż sprowadzenie wszystkiego do czysto pałacowej tragedii.

Alle scenografia wydaje mi się wciąż najszlachetniejszą stroną Powszechnego. Nie sprostała chyba swemu zadaniu także Elżbieta I. Dietrich, autorka scenografii do sztuki Krasińskiego „Wkrótce nadejdą bracia” w reżyserii Ryszarda Sobolewskiego. Ciężkie, mieszczańskie wnętrza wyraźnie kłóci się z balladowym charakterem tego dwuaktowego dramatu, który ukazuje psychologiczne i moralne skutki niedawno zakończonej wojny. W tym świecie na styku dwóch epok, gdzie każdy może okazać się politycznym przeciwnikiem, w świecie pełnym podejrzliwości i traconych kolejno złudzeń, trudno o ludzką solidarność, choć ona właśnie najbardziej byłaby potrzebna. Spustoszeniu uległy nie tylko miasta, ruinie uległy także ludzkie osobowości.

Te treści Sobolewski z dramatu Krasińskiego celnie wydobyl, choć znając choćby rodzenie się nowego życia na naszych Ziemiach Odzyskanych, można chyba było wydobyc coś więcej, tekst sztuki jest dostatecznie nośny. Sobolewski uwiodła chyba uroda balladowości i spektakl w tym kształcie jest na pewno pozycja udana. Tym bardziej, że swemu trudnemu zadaniu sprostał także aktorzy Teresa Makarska jako Ada i Leon Niemczyk jako Kolekcjoner. W poetyckim spektaklu wczuli się także postrastli aktorzy: Bogdan Kopciowski, Zbigniew Niewczas, Mieczysław Szargan i Edward Warzecha. Spektakl jest pozycją udaną, ale zabrakło mi jakby wybrzmienia, abw „Szachy” i „Wkrótce nadejdą bracia” stanowiły jednorodny w swej ideowej wymowie dyptyk.

DOM NA BUCZKA

Dalszy ciąg ze str. 1

i „Feniks”. Zwróćcie też uwagę, że większą część sprzętu, którym dysponuje dom na Buczka to sprzęt wyrażnie przeznaczony dla młodej generacji — gry świetlicowe, aparatura do nagrywania i odtwarzania szlagierów, instrumenty perkusyjne, modelarnia, ciemnia. Nie dziwny się — aż 80 proc. uczestników domu to ludzie młodzi. Przyszedł tu, uczyć się tańców towarzyskich i artystycznych, muzykują, przy okazji odbywają randki, taksują dziewczyny, ale przecież przy sposobności szlifują niezręczność i chropowatość charakterów i fantazji. Przekształcają się z kwartału na kwartał, o czym nawet sami nie wiedzą.

— Ta młodzież trudna, „z ulicy” — mówi kierownik domu na Buczka, Antoni Paszewski — przynosi z sobą ciężki nieraz balast, nawyków i upodobań, charakterystycznych „margines”, w rozumowaniu, myśleniu i rozmowach operuje kategoriami „my” i „wy”, „My” to znaczy — oni — czekamy na to, co nam dadzą, co dla nas zrobią. „My” to młodzi ludzie, którym niełatwo w domu na Buczka oswoić się z rygorami zakazującymi picie wina i wódki. Musi upłynąć sporo czasu, zanim nie poczują się równoprawnymi i twórczym elementem społeczności, zanim w ich mentalności nie zniknie podział na „my” i „wy”, poczucie izolacji i junańskiej opozycji.

2.

Dom na Buczka powstał z inicjatywy trzech łódzkich fabryk, a że wśród nich „Lodex” poniósł największy wysiłek organizacyjny i finansowy, więc i nazwa fabryki przeszła do nazwy domu kultury, tym bardziej, że tuż obok, na Nowotki, mieści się jeden z oddziałów produkcyjnych „Lodexu”. Dom na Buczka jest otwarty, skupia pracowników trzech fabryk, ale i ludzi z zewnątrz. Jego pracą interesują się więc nie tylko rady zakładowe i administracje fabryczne, ale i dzielnicowa władza. Tylko, że te zainteresowania są nieraz i... źródłem konfliktów, które rozwiązywać musi jakoś sam kierownik.

— W domu planujemy pracę na cały rok, w fabrykach, które łożą na nas, rozliczają dom raz na miesiąc, a w dzielnicę oceniamy nas co kwartał.

Więc kierownik musi się „gimnastykować” i co cesarskie czyli fabryczne — oddać fabrykom, a co boskie, czyli dzielnicowe — oddać dzielnicę, to ona oczekuje od domu stałego rozwoju działalności na rzecz tu-tejszego środowiska. Ale trudności i tak dość dużo. Programować robotę kulturalno-oświatową można coraz szerzej i lepiej — coż kiedy do realizacji programów jest tylko trzech pracowników „merytorycznych”. A do tego — kłopoty z konserwacją sprzętu, zakupami. Nawet głupiej piłeczki ping-pongowej nie można kupić na rachunek, bo tam, gdzie są — nie wystawiają rachunków, a tam, gdzie je wystawiają — często piłeczek nie ma, albo po prostu „nie prowadzi ich się”.

3.

Ale kierownik się nie daje. Przeszedł już trudną szkołę działacza i kierownika — w Słupsku, gdzie zarządzał skansenem w Klukach, w Koszalinie — gdzie pracował w wojewódzkim domu kultury. Teraz — w Łodzi — czuje się mocno związany z miastem i jego sprawami i tak łatwo nie da się wprowadzić do równowagi. Te związki umacnia zresztą uczucie i rodzina — właśnie w Łodzi poznał swą obecną żonę i wytrwanie na posterunku przy ul. Buczka stało się już dlań sprawą życiowych ambicji.

Trzymają go tu i sukcesy. Sporo satysfakcji przynosi na przykład szeroko prowadzona działalność klubów i zespołów. Skupiają one nawet przyszłych z Zgierz i Zdunskiej Woli, a nie tylko łódzian — tych z fabryk-partnerów od kultury i tych „z ulicy”. Cieszy kierownika, że na imprezy domu przychodzi blisko 50 tys. osób rocznie, że do punktu konsultacyjnego w sprawach rodziny i pedagogiki przychodzi coraz więcej młodych ludzi, co to dopiero myślał o założeniu tej „podstawowej komórki społecznej” i ludzi już dorosłych, dla których, choć żeby na problemach własnego domu i rodziny zjedli, wiele jeszcze spraw niejasnych i dziwnych.

W tym domu każdy znajdzie teren dla siebie, możliwości wyzścia się artystycznego czy kulturalnego. Można tu pograć w brydża i potać się bez obawy zdobycia opinii karciarza, bez niebezpieczeństw, jakie w sobie kryje instytucja „odbijanej”, czy zażłość podpiętych tancerzy. I ludzie zakochani w pięknie wypowiedzianych słów, zakochani w teatrze, mogą się wyżyć w zespole amatorskim i z tego uczestnictwa wynieść wiele radości. Aktywni, wychodzą z domu po próbie, czy po premierze nie muszą się leknie, że nazajutrz schłapani zostaną przez zjadliwą krytykę.

Włóknarskie miasto i jego historia i tu znalazły swych oddanych miłośników. Spotykają się co jakiś czas, aby odświeżyć pamięć starych dat z przeszłości Łodzi, wydarzeń, którymi obrosła XIX-wieczna historia rozwoju łódzkiego włókiennictwa, aby wspominać ludzi na zawsze związanych z dziejami miasta.

300 czytelników regularnie wypożycza książki z tutejszej biblioteki, ale przecież wszystkiego nie znajdziesz w książce, nawet najsmaczniejszej. Ludziom potrzebne jest żywe słowo, wymiana poglądów wśród takich jak oni, potrzebne kontakty z „wielką” nauką i teorią — aby to wszystko mogli skonfrontować z własnym życiem i własnymi poglądami na świat. Dlatego takim powodem nie cieszą się organizowane systematycznie przez dom cykle spotkań dyskusyjnych i studiów — o wychowaniu estetycznym, o teatrze („uczmy odczuwania piękna, uczmy wrażliwości...”), o współżyciu.

Brygadziści, majstrowie i kierownicy działów od „Duracza” zażądali zorganizowania studia socjologii i psychologii pracy, bo chcą lepiej kierować największym dobrem gospodarki narodowej, jakim jest człowiek. „Feniks” i „Lodex” przysłał sporo ludzi na zajęcia dotyczące pracy średniego dozoru technicznego, tych ludzi, których kiedyś nazywaliśmy szeroko w Polsce „oficerami produkcji”, a którzy i dziś mają na swych głowach trudne sprawy rytmiki wytwarzania, podnoszenia jakości i wydajności, rozwoju racjonalizacji i nowatorstwa, a obok tego wszystkiego obowiązkiem wychowania grup majsterskich i brygad, adaptacji nabytku włóknarskiego itd. itp. Mają czas na wszystko, chociaż nie nazywamy ich już „oficerami”. Odnoszą sukcesy i w sferze produkcji i w sferze pedagogiki.

4.

Dom skupił w swej pracy licznych sojuszników — szkołę nr 132 na Wierzbowej, z którą zorganizowano studium wiedzy o rodzinie, VIII Liceum Ogólnokształcące na Nowotki — skąd pochodzi ciekawa zjawiska świata kadra uczestników różnych zespołów oświatowych i artystycznych, naukowców z oddziału łódzkiego Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego, którzy uczą ludzi przychodzących do domu, wiedzy o dawnej Łodzi i krzewią zainteresowanie dla robotniczego folkloru miasta, współdziała z domem Muzeum Etnograficzne i TWP i terenowe organizacje społeczne. Kuratorzy sądowi zbierają się tu raz na miesiąc, aby podyskutować o specyfice dzielnicowych kolizji z prawem o skutecznej profilaktyce w środowisku nieletnich.

Jedna z matek z dzielnicy surowo skarciła syna za to, że chodził na wagary do „Lodexu”. Dopiero znacząco później przeprosiła kierownika domu:

— Niech lepiej już przychodzi tutaj — rzekła — niżby miał wystawać wieczorami po bramach i tubuować.

Matka nie widziała innego środka zaradczego, jak ów dom na Buczka, uwierzyła w jego posłannictwo, choć i ona sama i jej separowany mąż, zdążyli uczynić w psychice syna wiele spustoszeń. Ani się nie uczył ani nie chciał pracować.

Młody człowiek przychodzi nadal do domu, dojrzewa, zdaje się, z każdym dniem — do podjęcia życiowych decyzji.

5.

Jest ostatnio kilka przykładów wyrwania ludzi z niebezpiecznego marginesu. Krzysztof B. nie skończył szkoły, bo po prostu znudziło mu się wkuwanie, poszedł do jakiejś pracy, ale wkrótce ją rzucił, nie powiedział, że w zespole amatorskich, czy choćby cieszą się każdym doświadczeniem w zespole amatorskich, może zagrały resztki ambicji w Krzysztofie — dość, że po pewnym czasie przestał się borykać, wpadł raz nawet na zajęcia jakiegoś zespołu, wpadł — tak niby przez pomyłkę... Przychodzi teraz systematycznie na spotkania z dwoma zespołami amatorskimi, pracuje zawodowo i nie myśli roboty rzucić obcasowo, myśli za to o tym, żeby jakoś nadrobić te stracone lata i szkołę wreszcie skończyć.

— Ci, co przeszli „na naszą stronę” — słyszę tu — mają już własne, krytyczne spojrzenie na „margines”, z którego wyszli.

I to jest ważne, bo ci młodzi ludzie stają się jednocześnie ostrakami jakiegoś zdrowego fermentu w domu, w którym mieszkają, w osiedlu, wśród takich jak oni młodych, ale jeszcze nie rozważnych, jeszcze lekomyślnych, czasem wrogich społeczeństwu i dzikich.

FELIKS BABOL

Kiedy się wraca z poznańskich targów trzeba być przygotowanym, że bliżej i dalsi znajomi będą wypytawali: „No i co? Była coś ciekawego?” Oto niecierpliwość każdego konsumenta, któremu w ubiegłym sezonie nie udało się na przykład znaleźć w sklepach butów jakie sobie wymarzył bądź wybranego spośród innych modeli płaszcza — albowiem akurat zabrakło właściwego rozmiaru. Jak więc odpowiedzieć na takie pytania skoro na dobrą sprawę nie pamiętam targów, na których by czegoś nowego, ciekawego nie pokazało. A jednak! Jakże byłyby dalsze losy targowych atrakcji? Wiemy, wiemy. Niekiedy nowości pozostawały eksponatami z targowej wystawy, które ledwie wolno było nubiwać (bez dotknięcia), a których potem nie można było w sklepie znaleźć. Takie nieprawidłowości wynikały stąd, że niektórzy producenci trwali na stanowisku, targi to jedno, codzienna praktyka to drugie. Targi odbywały się dwa razy do roku i najważniejsze, żeby się na nich dobrze pokazać, a później jakoś to będzie...

KAŻDY KLIENT DOBRY

Gdy na ostatnich wiosennych targach zobaczyłam wyroby, które na krótko przed otwarciem poznańskiej imprezy wprowadzono już do sprzedaży (kosmetyki, niektóre artykuły spożywcze i dziewiarskie) uciśnięłam się szczerze. To jest to — pomyślałam — co na gieldzie „Wiosna-74” zasługuje na uwagę i co wyróżnia ją wśród dotychczasowych. Później, w czasie targów, miały miejsce jeszcze inne zdarzenia, które potwierdziły, że giełda to nie wystawa lecz impreza handlowa, dla której celem jedynym i ostatecznym jest zaspokojenie potrzeb konsumenta. Jednym z dowodów, że wystawcy przyjęli wreszcie tę prawdę do wiadomości jest fakt, iż w trakcie roboczych rozmów z handlowcami postanowili skorygować wielkość swoich ofert zadeklarowanych tuż przed otwarciem targów. Kiedy więc przed otwarciem targów wszelkie ewentualne trudności, jakie mogą się później w produkcji wyłonić, zdecydowano wielkość ogólnej targowej oferty przemysłu zmniejszyć o jeden mld złotych. W ten sposób należy uznać, że oferta o wartości 60

mld zł jest już tą realną wielkością, z której producenci wywiążą się w ciągu opiewanego umowami II półroczia br. całkowicie i bez opóźnień.

Nowości na targach wiosennych rzeczywiście nie brakowało, lecz handel z tego powodu nie był oszołomiony. Oczekiwał przecież takiej sytuacji. Trzeba powiedzieć, że handlowcy mimo „wielkich apetytów”, z jakimi do Poznania zjechali (dochody ludności, a wraz z nimi popyt na rynku wciąż rośnie) stąpali godnie, wybierali rozsądnie, posłusznym zasadzie, że nowości nowości nierówna.

NIE MA ŻARTÓW...

— Są wprawdzie duże potrzeby — powiedział mi zastępca dyrektora d/s handlowych Centrali Tekstylno-Odzzieżowej, Jerzy Piotrowicz — ale nie ma popłochu i tego obłędu, z jakim kiedyś handel rzucił się w Poznaniu na towar. Do stawiania wysokich wymagań producentom zmusza nas nie tylko sama idea czynienia dobrego, ale także nasza magazynowa

Ciągle muszę wychodzić z domu na szlaki moich dziwnych wędrówek, które tym razem zawiodły mnie na ulicę Limanowskiego 166, gdzie każdy dostrzeżł brzydki napis na brzydkim, niskim budyneczku portierni — DOM SPRZEDAŻY WYSYŁKOWEJ.

W portierni zastałem kilku mężczyzn, z których jeden pyta mnie urzędowym tonem, o co mi chodzi. Mówię, że zamówiłem sobie w DSW pewien towar (nie zwierzę się jaki), i oczywiście otrzymałem przesyłkę, ale towar, jaki mi przysłało jest inny od tego, który zamówiłem i wcale mi się nie podoba.

— Ma pan ten towar przy sobie? — pyta portier.

— Nie, bo jak mi wiadomo wszelkie usługi DSW odbywają się za pośrednictwem poczty i towar ten muszę chyba wysłać. A tutaj przyszedłem tylko zapytać, dlaczego nie otrzymałem takiego jak chciałem towaru.

— Może pan przynieść ten towar, to panu wymienię, albo od razu zwrócę pieniądze — informuje mnie portier już nie urzędowo, ale bardzo po ludzku. Zapytuje mnie jeszcze czy jestem łódzianinem. Odpowiadam, że tak, co jest prawdą.

— Nie ma więc problemu. Jeśli pan zdąży przynieść ów towar przed godziną czternastą, to jeszcze dzisiaj będzie wszystko załatwione. Tutaj na miejscu znajduje się magazyn reklamacji.

— A czy mógłby mnie pan połączyć z kierownikiem tego magazynu? Chcę mimo wszystko wiedzieć, dlaczego potraktowano mnie tak nieładnie, przysyłając bubeł zamiast tego, co widziałem w katalogu i zamówiłem bardzo mi się podobał.

Nie patrzę w oczy portierowi, bo wiem, że nazwałby mnie chętnie natretem, któremu nie się w tym życiu nie podoba. Łączy mnie jednak z magazynem reklamacji. Moją rozmówczynią jest kobieta. Wyjaśniam o co mi chodzi. Zostałem jakiś zastępczy, brzydki towar w zamian tego, który widziałem w katalogu i zamówiłem sobie.

— Widocznie nie mieliśmy zamówionego przez pana towaru w magazynie i stał zupełnie inna propozycja z naszej strony. Skoro jednak nie udało nam się trafić w gust pański, to oczywiście nasza wina.

— Tak — mówię — wszystko jasne, ale moim zdaniem takie praktyki są wobec klienta mało stosowne i jak mi wiadomo są dosyć częste, bo i moja znajoma nie otrzymała takiej bluzki, jaką zamawiała...

— Proszę mi wierzyć — przekonuje mnie miły, kobiecy głos — że tego rodzaju wypadki są sporadyczne. Zdarzają się, to fakt, ale w okresach, kiedy katalog już się kończy, to znaczy wówczas, kiedy dany asortyment został już rozprzeczony i dysponuje

my nim, ale tylko w innych kolorach, bądź też jest to jakiś inny fason w przypadku konfekcji...

— No, nikt przecież nie mógłby mnie poinformować od pani.

— A pan ma przy sobie ten towar?

— Nie, nie mam żadnego towaru i żadnego nie zamawiałem. To taka lipa z mojej strony, ale chciałem wiedzieć o tym, czy rzeczywiście istnieją takie praktyki.

ANDRZEJ W. MIKOŁAJEWSKI

PRZEBRANY ZA SMOKA

— A po co to panu?

— A po to, żeby napisać reportaż o niesolidności DSW wobec klienta.

— O rany?! To pan jest dziennikarzem?

— Nie musi się pani czegokolwiek obawiać, bo jeśli nawet jestem dziennikarzem, to przecież nie jest to równoznaczne z wawelskim smokiem.

Odkładałam słuchawkę, mówiąc tej pani do widzenia.

— Sami się wpakowali — mówi portier i drapie się w głowę.

— Nie ma zmartwienia — rzekłem i wycofałem się z portierni, zostawiając w niej milczenie.

Sądząc, że na Limanowskiego 166 jest tylko teren magazynowy, postanowiłam od razu pojechać do dyrekcji, która mieści się w PTH „Uniwersal”. W drodze do przystanku tramwajowego nie mogłam pozbędzie się uczucia wygranej. To już jest coś, myślę sobie, takie niecie praktyki z zastępczymi towarami od klienta, zamiast tych, które ten sobie zamówił. To już jest coś! Zazylem ich. Mam w szachu całe to, DSW, odwalę druzgocący reportaż,

HANDEL

rzeczywiście. Nie mamy zbędnych magazynów, w których moglibyśmy przechowywać niechodliwe towary. Przy tych obrotach jakie zaczynamy osiągać każdy wolny metr w magazynie ma coraz wyższą wartość wyrażoną w złotych.

Ze w tym roku wyjątkowo przestrzegano wszelkich reguł targowej gry, że naprawdę każda niemal nowość brano pod lupę świadczą wyniki wzmożonej działalności PIH, której przedstawiciele buszowali nieustannie po pawilonach tropiąc nieprawidłowości. W wyniku tych poszukiwań z lukiem na cały Poznań, a potem kraj, wyleciało z ekspozycji 15 artykułów. Była tam wieczorowa sukienka Dziewiarskiej Spółdzielni z Warszawy, którą producent wystawił w charakterze eksponatu nie dając handlowi szans zakupu, było na tej samej zasadzie 6 neserów z Gliwickich Zakładów Przemysłu Terenowego, opony do samochodzików — zabawek, pasty do obuwia i płyny polyskowe, wody kwiatowe itp.

Nie jestem przekonana, czy akurat ta lista wyczerpuje problem eksponatów bez pokrycia, ale w każdym razie hałas, który wokół niej zrobiono będzie w przyszłości dla wystawców przypomnieniem: targi to nie wystawa, na której przechwalamy się swoimi szczytami, jednorazowymi osiągnięciami, lecz miejsce gdzie prezentujemy realne możliwości, które w produkcji trzeba będzie potwierdzić każdego dnia.

Mam nadzieję, że z pełną świadomością tego faktu producenci odzieży przygotowywali swoją targową kolekcję. Bodaż najwięcej właśnie w tej branży było nowości, gdyż stanowiły one aż 63 proc. wartości całej oferty.

Jeśli więc można liczyć na odzieżowców, to zgodnie z tym co pokazano w Poznaniu, jesienią i zimą tego roku nie powinno brakować w sklepach tak modnych obecnie dlu-

HANDEL

doprowadzę chociaż częściowo ten świat do ładu i składu. Nagle jednak robi mi się przykro. Nastraszyłem kobietę. A może to i prawda? Może jestem smokiem?.. Tylko że nie wawelskim, lecz łódzkim?..

„Uniwersal”. Wbiegam na ruchome stojące nieruchomo tym razem scho-

gich, szerokich spódnic damskich w kratę i gładkich oraz różnego rodzaju spodni długich i „trzy-czwarte”. Gorzej natomiast z męskimi ubraniami i spodniami męskimi oraz chłopcami z bistoru, na które popyt z powodu wysokich watorów użytkowych, rośnie szybko. Nie ma również w ofercie gwarancji na pełen wybór deseni i fasonów męskich koszul produkcji renomowanych firm jak „Wółczanka” czy „Romeo”. Koszule są naprawdę piękne: w kratę, w pasy w rzadko rozsypany wzorek, gdyby więc jeszcze w sklepach dostępna była pełna gama rozmiarów wszelkie narzekania w tym względzie straciłyby rację bytu.

NIEMOWLĘ TEŻ CZŁOWIEK

Dziewiarze swą propozycją mniej sprawili radości dorosłym konsumentom, a bardziej (nareszcie!) zadowolili się o dzieci. Jest to odpowiedź przemysłu na rzuczone przez opinię publiczną wyzwanie: „niemowlę też człowiek”. Są więc w kolekcji dziecięcej rzeczy wręcz porywające i cieszyć się wypada, że w tych przesłanych małych koszulkach, sukienkach, bluzeczkach, rajstopach, śpioszach, śpiworach, ogrodniczkach przodują łódzcy producenci jak ZPDz „Pafino”, „Sigmatek” z Piotrkowa też nieźle na tle całej dziecięcej oferty wypadli. Dobrze byłoby, gdyby barwne bluzki koszulowe z „Sigmatek” wykonane z uszlachetnionej bawełny znalazły się wreszcie na półkach sklepów, a nie stanowiły „towaru spod lady” jak to się do tej pory dzieje.

Skoro już o milusińskich mowa to słów parę na temat zabawek. Na wystawie było ich sporo. Najbardziej udało się tym razem tekstylnym lalki i zwierzęta. Lalki są urokliwe, gustownie ubrane, małe i duże, niektóre nawet równe wzrostem 3 i 4-letkom. Osiolki, misie, żółwie, psy są również tak duże, że dzieci z łatwością mogą ich dosiadać i używać w charakterze poduszek lub mebli. Poduszki są zresztą też. Ładne, bo uszyte na przykład na kształt psiej głowy z długimi welwetowymi uszami.

Nie brakuje jednak lalek, z którymi po 10 minutach zabawy polegającej na oglądaniu, nie wiadomo co

robić. Lalki te noszą profesjonalne imiona, jak „Elwira” i ubrane są w służbę lub balowo-wizytowe suknie. Nie pozostaje nic innego tylko usadzić taką „Elwirę” po środku wysoko zaścielonego łóżka. No tak, ale raz, że nie będzie to gustowna dekoracja nowoczesnego wnętrza, a dwa — nie będzie to przedmiot zabawy dla



Foto: Włodzimierz Parys

dziecka. Czy nie lepiej, aby się spóźnieć pracy produkującej dziesiątki wcale nie tanich lalek „Elwira”, co przed jej przebraniem? Pole do popisu jest szerokie, bo w krajowej produkcji nadal brak zmechanizowanych zabawek, których tak atrakcyjne wzory dostarcza import.

No, ale powiedzmy, że na pytanie, w co się bawić i czym się bawić, znajdzie się w sklepach jakaś odpowiedź. Niestety, trudniej będzie szu-

kać odpowiedzi: jakie buciki do zabawy albo na spacer?

KOTURNY I BAMBOSE

Przemysł skórzany nie ośmielił nowych propozycjami. Jeżeli dodać do skromnej palety wzorów wieczne kło-

w dostatecznym wyborze. Nie nasyciliśmy się nimi w szczytowym okresie „koturnowej” mody. Ale czy wysokie spody będą modne także nadchodzącej jesieni i zimy? Pierwsze wzmianki na ten temat zdają się przeczyć. Może panowie, — bo ci są zawsze mniej podatni na wymagania mody — będą usatysfakcjonowani wysokimi spodami, ale panie?

Wątpię, że o tym nawet mini kolekcja pokazana przez Centralne Laboratorium Przemysłu Skózanego, a złożona z butów firmy włoskiej „Manzini”, z którą właśnie nasi producenci rozpoczynają współpracę. Oby to im na dobre wyszło, bo włoskie buty, które będą dla nas inspiracją, charakteryzują się piękną linią, a nade wszystko miękkością i lekkością, co gwarantuje pełną wygodę chodzenia.

W trosce o komfort krajowej stopy nawiązano także współpracę z fachowcami francuskimi. Modelarze z Francji rozpoczęli już u nas swoją działalność. Ich zadanie polegało na udoskonaleniu modeli butów przy dostępnych nam surowcach oraz istniejącym parku maszynowym.

W sumie z zabezpieczeniem ogólnej ilości butów potrzebnych zgodnie z przewidywaniami na nadchodzącą jesień i zimę kłopotów nie będzie, ale — jak zwykle zastrzegają się producenci — w pewnych rodzajach obuwia mogą wystąpić niedobory. Dotyczy to na przykład pantofli domowych, których jeszcze do niedawna było na targach zastrzeżenie. Producenci bamboszy naprasali się handlowcom ze swoim towarem, a dziś sytuacja jest odwrotna. Ot, przykład, jak niekiedy nie potrafimy wyprodukować. Raz za dużo, raz za mało, rzadko zaś tyle łańcucha, ile potrzeba.

MODA NIE ŻYWIŁ

Powiedzieliśmy już sobie, co na targach było, a czego nie było, ale z podsumowania tego rejestru wynika — przynajmniej dla mnie — jeszcze jedno wrażenie niedostatku. Myślę o niedostatecznej koordynacji poczyną poszczególnych gałęzi przemysłu. Obuwnicy sobie, odzieżowcy sobie i dziewiarze sobie, słowem każdy swoją rzepkę... Ubiór teraz człowiekowi to wszystko razem i stań przed

HANDEL

lustrem, a może się okazać, że wyglądasz jak wiosenna salotka. Długie spódnice plus wielkie, ociężałe buty na grubych podeszwach? A jaka do tego torebka, apaszka, bluzka? Koszula w kratę lub ciapki, a jaki przy tym krawat? Wniosek: jeśli nie zatracisz poczucia smaku estetycznego, kompletuj sobie sam na własną rękę i nie lódz się, że przyjdzie ci to łatwo.

Po festiwalach piosenki nagrywa się płyty. Gdyby tak po targach wydać zurnal, który by kompleksowo pokazywał wszystkie wystawione na giełdzie towary? Może wtedy producenci zauważaliby kolorowo na białym potrzebę opracowywania kolekcji w międzybranżowym porozumieniu. W perspektywie, doskonaląc swoje umiejętności we współpracy, może nabrałyby umiejętności i siły lansowania mody, nie tylko zaś nadążania za jej wymaganiami. Zabawa ta przypomina gonitwę psa za własnym ogonem. Działając w taki sposób przemysł zawsze będzie w najlepszym wypadku o sezon spóźniony. (Przykład z butami na wysokich spódach).

Ze modę można i należy lansować, dowodzą nie tylko przykłady z Paryża, ale i Warszawy (patrz: Domy Towarowe „Centrum”). Wreszcie czas nadszedł, aby o problemach rynku myśleć kompleksowo. Stosunek i mobilizujące są monotematyczne wystawy oraz hasła (najnowsze: „Niemowlę też człowiek”) ale przy tej okazji nie uchodzi zaniedbywać na przykład staruszków ani ciężarnych kobiet, ani też wysokiach albo otyłych. Każdy klient dobry — o czym niebawem się przekonamy, gdy wraz z lawiną towarów rynek producenta i handlowca na dobre przekształci się w rynek konsumenta.

ŻANETTA PURYS

— Proszę się rozebrać, siadać, napije się pan kawę, czy herbaty?

I już po chwili, razem z herbatą, stoi przede mną sterta teczek urzędowych, które przeglądam i wypisuję, co tylko uznaję za ważne: z każdej po trochu:

„Problem roszczenia handlu wysyłkowego w Polsce, rozpatrzony został na Kolegium Ministerstwa Handlu Wewnętrznego w m-cu lutym 1962 r. Powołano do życia specjalny dom wysyłkowy DSW, którego działalność uruchomiona została z dniem 17.09.1962 r. Aktem formalno-prawnym powołującym DSW jest Zarządzenie Dyrektora C.T.O. Nr 31 z dnia 18.07.1962 r., oparte na piśmie Ministerstwa Handlu Wewnętrznego z dn...”

Patrzę na młodszą, ładniejszą dziewczynę, która jest tu sam na sam ze smokiem. Uśmiecha się. Powracam szybko do aktu prawnego:

„...z dniem 1.06.1962 został powołany Dom Sprzedaży Wysyłkowej z siedzibą w Łodzi, którego przedmiotem działania jest działalność handlu wysyłkowego (na zamówienia korespondencyjne) głównie za pobraniem pocztowym, towarami niżej wymienionych branż: Tekstylia, konfekcja, dziewiarstwo, pociągownictwo, obuwie, meble, art. galanterijne, skórzanie i włókiennicze, art. gospodarstwa domowego, fotograficzne i precyzyjno-optyczne, sportowe, muzyczne i radioaparaty”.

W innej teście znajduję takie oto dane:

„D.S.W. prowadzony jest w ramach narodowego planu gospodarczego Centrali Tekstylno-Obuwianej”.

Ala:

„Zarządzeniem Nr 91 Ministerstwa Handlu Wewnętrznego i Usług z dnia 19 grudnia 1972 r. z dniem 1 stycznia 1973 r. powołane zostało przedsiębiorstwo państwowe pod nazwą: Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Powszechne Domy Towarowe z siedzibą w Łodzi Pl. Niepodległości 4. Przedsiębiorstwo powstało z połączenia: Powszechnego Domu Towarowego „Uniwersał” w Łodzi, Domu Sprzedaży Wysyłkowej w Łodzi, oraz Handlowego Domu Dziecka w Łodzi. Nadzór nad działalnością przedsiębiorstwa sprawuje Zjednoczenie Domów Towarowych w Warszawie.”

A więc integracja? I co z tego, że integracja? To na przykład, jak dowiaduję się później w rozmowie z dyrektorem naczelnym Dionizym Sobczykiem, że zetknięty się dzięki integracji dwie formy zakupu i sprzedaży, a co dwie, to nie jedna. Kłopot w tym jednakże, że dla „Uniwersału” zamawiane są krótkie serie danego towaru, a dla DSW istnieje potrzeba zamawiania dużych serii. Można poza tym przerzucać z „Uniwersału” do DSW te towary, które DSW wyśle, a nie może ich sprzedać „Uniwersał”, oraz odwrotnie: to, czego nie zdoła się pozbyć DSW, wkracza na stoiska „Uniwersału”.

Dobrze pomyślane. Tym bardziej, że jest po integracji przedsiębiorstwo z

prawdziwego zdarzenia, duże i silne, mające wpływ na kontrahentów, którzy dotychczas nie byli zorientowani w roli małego Domu Sprzedaży Wysyłkowej i lekceważyli sobie jego zamówienia. Lecz czy nie robią tego także dzisiaj?

Pytanie to zadaje kierownikowi DSW — Czesławie Góreckiej.

— Podam panu przykład Zakładów Przemysłu Dziewiarskiego „Jarlan” w Przasnysku — mówi pani kierownik. — Mielśmy tam obiecany produkcję

TO SIĘ NADAJE DO

„SZPILEK”

Dom Sprzedaży Wysyłkowej w Łodzi rozwija się nadszarpniętym. Ostatnio placówka ta wydrukowała 10 tys. egzemplarzy ze słowami ubolewania, że nie dysponuje żadnym towarem i nowych dostaw nie spodziewa się. List kończy się słowami: Serdecznie przepraszamy za sprawiony zawód. Nie ma za co.

towaru na wyłączność naszej placówki. Jednakże „Jarlan” nie wywiązał się z zawartej z nami umowy, rozprowadzając produkcję dla nas do wielu innych odbiorców; w rezultacie czego otrzymaliśmy tylko znikomą ilość masy towarowej. Dlaczego tak się stało? Podobno ktoś tam czegoś nie dopatrzył. Bałagan? Na pewno. Ale czy wybaczalny? Skoro zamówione tam bluzeczki rozreklamował już nasz katalog i zamówienia są jeszcze większe niż to zostało przez nas przewidziane... Oto dlaczego niektórzy nasi klienci otrzymują czasami jakiś zastępczy towar. My nie możemy stracić żadnego klienta i stąd te zamiary, które jednakże najczęściej są naszą trafną decyzją.

— A ja sądziłem, że jest to zawsze decyzja wynikająca z niesolidności Domu Sprzedaży Wysyłkowej. I nadal wierzę, że wielu waszych klientów też może to tak właśnie pojmować.

— Klient, któremu nie podoba się podmieniony towar, zwraca nam go przesyłką na koszt DSW. Niech pan jednak popatrzy...

Po tych słowach pani kierownik kładzie na moim biurku stertę listów z dnia dzisiejszego. Czytam list za listem. Wszystkie są ciepłe, w każdym podziękowanie za usługę, z każdego listu widać coś, co określić by można... — wiarą człowieka w człowieka. Jest to tak, jakby Dom Sprzedaży Wysyłkowej był w mniemaniu swoich klientów siedzibą dobroczynności, opiekuńczym skrzydłem, które za pomocą poczty sprawi, że w każdym, nawet najbardziej odległym od każdego miasta domu, zjawi się upragniona rzecz: wzorzysty dywan, wspaniały garnitur, szalowa bluzka, itd., itp...

NIE WYCHODZĄC Z DOMU KUPISZ W DSW. Tak, to tylko ja mu-

siałem wyjść z domu, ażeby napisać ten raport. I żeby nie być gołosłownym, przytaczam treść jednego z listów:

„Serdeczne pozdrowienia z Suchożebr Przesłała stała klientka Ewa Koziej z Urzędu Gminy. Towar otrzymywałam — od was — przysłał mi w terminie i w pełnym składzie, za co jestem bardzo wdzięczna ponieważ skracę mi to czas biegnięcia po Siedlece, gdzie codziennie dojeżdżam, oraz czas wyczekiwania miesiacami na dostawę do sklepów odpowiedniego towaru. Jestem naprawdę wdzięczna i zawsze pragnę korzystać z waszych usług”.

Inny klient dziękuje za szybkie przesłanie mu lutownicy transformatorowej, której nie mógł gdzie indziej dostać. Młoda dziewczyna pisze ze wzruszeniem, że zamówioną bluzkę otrzymała akurat w dniu, w którym ukończyła 18-ty rok życia. Ojciec liczącej rodziny opisuje radość dzieciaków (każdego z osobna), żony oraz teściowej, nie zapominając o własnej radości z otrzymanej kamizelki, czy czegoś tam...

Pani kierownik pokazuje mi „Katalog jesień-zima 1973/74”. Przeglądam go i muszę przyznać, że miejscami jestem zaskoczony solidnością jego wykonania jak na nasze, rodzime warunki. A jednak mnie osobiście, mieszkając handlowej metropolii, nie zachwycają reklamowane tym sposobem towary. No cóż, każdy katalog musi się rodzić o pół roku wcześniej, zanim zaczyna się jego wyprzedaż wysyłkowa. Ażeby być z modą na czasie, byłaby DSW potrzebna własna drukarenka, dzięki której robiłoby się błyskawicznie jednorazowe reklamówki poza tym katalogiem. Minęło jednakże 12 lat od chwili powstania Domu Sprzedaży Wysyłkowej i ile musi minąć jeszcze, ażeby zmniejszył się okres rodzenia się każdego katalogu i była możliwość drukowania błyskawicznych, jednorazowych reklamówek?...

Ostatnią rozmowę przeprowadzam z dyrektorem naczelnym z Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Powszechne Domy Towarowe. I nie jest już ze mnie żaden smok. Chyba że wobec kontrahentów. Tych z „Jarlanu” i z łódzkiej „Olimpii”, która 7 września 1973 r. zobowiązała się dostarczyć do realizacji w I kwartale br. 52.500 sztuk masy towarowej dla Domu Sprzedaży Wysyłkowej, a tymczasem kwartał ten już się kończy i szanowna „Olimpia” dostarczyła zaledwie 1.790 sztuk. Złotać by tu trzeba ogniem!!!

— Jestem optymistą — mówi dyrektor Dionizy Sobczyk. — Sprawa zaopatrzenia rynku jest dzisiaj oczkiem w głowie naszego ministra i nie ma

pobłażania dla niesumieńczych kontrahentów. A sprzedaż wysyłkowa rozszerzy się także na zagranicę. Do nas więc należy przyszłość.

— Wypada mi w takim razie życzyć powodzenia — mówię i żegnam się z dyrektorem, który co chwila odbiera jakieś telefony i nasza rozmowa nie jest tak bardzo możliwa.

Zarażony optymizmem myślę sobie: Jak to będzie fajnie, kiedy Dom Sprzedaży Wysyłkowej przemieni się w przyszłości w ogromny koncern wysyłkowy, coś na podobieństwo Searsa z Philadelphii, którego katalog reklamowy ma 1427 stron, czyli o 1363 stro-

HANDEL

ny więcej, niż aktualny katalog DSW. Sears wybudował w Nowym Jorku największy drapacz chmur świata.

Autobus linii 57 wiezie mnie ulicą Piotrkowską. W tłoku przestaję być optymistą. I mijam mi zupełnie ochota na mianowanie się łódzkim smokiem.



Foto: Włodzimierz Parys

MAŁE JASNE DLA WETERANA

W nocy z dwudziestego siódmego na dwudziesty ósmy września tysiąc siedemdziesiątych trzeciego roku spadł deszcz i zmoczył cały nadmorski piasek oraz brunatne pnie drzew. Półwysep Helski otuliła mgła, która pogłębiała tylko spokój i ciszę tego miejsca na plaży, gdzie stał samotny, siwy człowiek w długim, jasnym płaszczu. Nie oglądał się jak turysta, nie robił zdjęć pamiątkowych, nie patrzył na morze. Była czwarta piętnaście...

O tej porze w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku w miejscu, gdzie stoi samotny mężczyzna leżał okopany młody erkaemista w ciemnym hełmie na głowie. Obok leżały zimne od rosy pudła z amunicją i nowiutka sapierka, która dała mu dowódcę oddziału przed akcją. Erkaemista miał ubezpieczać oddział przed ewentualnym desantem z morza. Były to ostatnie dni obrony Półwyspu Helskiego przed wściekłymi atakami — zdziwionych oporem Polaków — żołnierzy generała Tiedemanna.

Erkaemista miał dwadzieścia dwa lata i zamiar podjęcia studiów na Politechnice w Warszawie. Siwy człowiek w jasnym płaszczu nie pamięta teraz, czy młody erkaemista w chwili, gdy niemiecki desant dopływał do plaży myślał o dziewczynie, którą zostawił by iść do wojska, czy też o indeksie Politechniki. Bo obydwie myśli wydają mu się teraz jednakowo ważne i prawdziwe. Czarna wrona z obwisłym skrzydłem, która w tym czasie wyszła z zarośli na skraju plaży i chciała napić się wody, ale nagle zatrzymała zdrowym skrzydłem i zawróciła.

Nie minęła minuta, a w lesie za plecami erkaemisty cisze przerwały serie z karabinów maszynowych. Siwy człowiek w jasnym płaszczu stara się teraz wyobrazić sobie minę dowódcy, który wybrał go do akcji. Może zaklął siarczyście, a może powiedział to swoje „Wot, młodzieniaszek”, którym określał najgorszego fajtlape. Jedno co zostało erkaemistę to palnąć sobie w łeb w tym czasie, gdy ginał oddział rezerwy. Ale on po prostu uciekł...

Za Jastarnią zobaczył na stacji kolejowej kolejarza, który stał się popchnąć wagon z napisem „Amunicja” w stronę bocznic. Chciał zdążyć przed następującym odgósem strzałów. Zauważył erkaemistę i pomachał ręką, żeby mu pomógł. Tamten wahał się chwilę, ale podbiegł do wagonu i zaczął cichać. Wagon powoli potoczył się na bocznicę. Gdy stanął w bezpiecznym miejscu, kolejarz klepnął erkaemistę usmarowaną ręką i powiedział: — Jak strzela tutaj to piwo u Abrahama.

Erkaemista przyjrzał się wtedy uważnie kolejarzowi i dzięki temu poznał go wczoraj w Juracie. Nie wierzył, że taki może przeżyć. Ze może żyć teraz spokojnie...

Szpakowaty mężczyzna spojrział na zegarek i odgarnął butem mokry piasek. Pod spodem zobaczył suchą skórę chleba, która jakiś czas temu zakopał by nie szukać kosa do śmieci i nie przeżywać opalania na słońcu. Dużo takich skórek na plaży... W lesie rozległo się

wycie syreny pociągu Wejherowo-Hel, który wioził rybaków do pracy w porcie. Z plaży widać było grupki grające w karty, oraz pojedyncze sylwetki, drżące przy oknach. Zazdrościł im.

Gdy odwrócił głowę, zobaczył czarną wronę idącą po piasku. Jedno skrzydło zwisało bezwładnie. Szła w stronę kałuży na piasku. Kiedy napila się, śmiejąc się przechylając łebkiem, wytarła dziób w pióra i zaczęła obserwować siwego mężczyznę. Ponieważ nie wydawał się jej groźny podeszła bliżej, gdzie leżała odepnana z piasku skórka chleba. Dziobnęła dwa razy, ale skórka była za twarda. Mężczyzna starał się nie wystraszyć wrony i stać spokojnie, chociaż przychodziło mu to z trudnością. Dopiero, gdy wrona weszła w zarośla przy plaży wyjął chusteczkę. Poczuł, że jest mu zimno i otrzepawszy buty z mokrego piasku poszedł do stojącego w lesie białego Volkswagena. Zapalił silnik i ruszył w stronę szosy. Jechał asfalterem i wypatrywał ścieżki za Juratą, która prowadzi na cmentarz. Przez chmury zaczęło przebiegać się słońce, tworząc w lesie mleczne smugi. Kiedy spostrzegł ścieżkę, skręcił kierownicę i stanął.

Cmentarz był niewielki. Skromne rybackie mogiły z kaszubskimi nazwiskami. Tylko jedna była inna... Kosiński Aleksander... Zginął śmiercią żołnierza we wrześniu 1939 roku. Cześć jego pamięci... Grób obramowany był cementowym obrzeżem, a krzyż zrobiony z brzoźowego drzewa wbity był głęboko w brunatną ziemię. Nagle mężczyzna podszedł do krzyża i zaczął czegoś szukać niecierpliwie. Ale tego, czego szukał nie było. Na grobie leżała tylko szczerbina od deszczów szmatka, która dawniej miała białoczerwony kolor.

— Ukradli — wymamrotał. O trzynastym stanął przed restauracją „Wczasowa” w Juracie, za szybami której kilku rybaków piło piwo i grało w karty. Na widok samochodu zwrócili twarze w stronę człowieka, wysiadającego z samochodu, ale po chwili znowu grali w karty i pili piwo. W restauracji było ciepło pachniało grochówką.

Mężczyzna zajął miejsce przy oknie i rozsiadł się wygodnie. Młoda barmanka o szpiczastych piersiach pod obcisłym sweterkiem, bacznie przyglądała się właścicielowi białego Volkswagena. Dała znak rozmawiającemu z dziewczyną kelnerowi, by obsłużył nieznajomego. Tamten wziął bloczek i z kwaśną miną podszedł do stolika.

— Co dla pana? — Małe jasne...I żeberko z kapustą. — Wódkę też? — Nie, dziękuję.

Szpakowaty mężczyzna rozejrzał się po sali z wolnymi stolikami i spojrział na obserwującą go barmankę. W pierwszym momencie wydała mu się bardzo bliska, bo podobna do tamtej dziewczyny, która zostawił idąc do wojska. Ale jego dziewczyna miała krótkie włosy, a ta długie i jakby jaśniejsze. Gdy kelner przyniósł piwo i talerz z ziemniakami i żeberkiem zapomniał o barmance i oddał się palaszowaniu gorącego mięsa, popijając cierpkim piwem. Zamierzał

jeszcze odwiedzić tego kolejarza, który jest właścicielem pietrowej willi i wynajmuje pokoje dla wczasowiczów. Obawiał się, że może go pamiętać, chociaż w tamtym dniu był w chelmie i bez brody, którą teraz zapuścił. Obawiał się, że będzie opowiadał jak to bohaterstwo walczył na tej swojej stacji. Na myśl o tym przeszło go zimno. Chciał iść do niego tylko po to, żeby spytać czy żyje ktoś z jego oddziału...

Gdy wyszedł z restauracji świeciło słońce i pachniało żywica. Do willi kolejarza miał zaledwie kilkanaście kroków. Przed bramą willi zauważył w oskularach i kolejarza. Gdy podszedł do nich miał zamiar spytać się o wolny pokój na jedną noc, ale musiał trochę poczekać, ponieważ kolejarz tłumaczył coś kobiecie po niemiecku. Chwilami puszpurował ze złości, ale zaraz na jego twarzy pojawiał się uśmiech, z którym słuchał niemieckich słów kobiety. Usłyszał wymawiane po raz trzeci przez kobietę zdanie niemieckie:

— Das ist meine Haus!!! — Nein, nein. — kręcił głową kolejarz, zastanawiając się nad nowymi argumentami, które przekonałyby Niemkę.

Kolejarz dojrzał nagle szpakowatego mężczyznę i rzucając Niemce z uśmiechem „Entschuldigen Sie bitte” podszedł do niego.

— Panie, należy się panu piwo. Uratowałeś mnie pan od tej starej wiedzy. Ciągłe tylko „to jest mój dom” i „to jest mój dom”. Z enerefu jest. Opowiada mi, gdzie była jej sypialnia, gdzie bawili się dzieci. A co mnie to w końcu obchodzi? Kto wygrał wojnę? Jej mąż zabił przed Kuźniami. Mówi, że szuka jego grobu. Wariatka. Tyle lat po wojnie?

— Może go kochała? — powiedział szpakowaty mężczyzna. — A kto ją tam wie... Pewnie wojnę przesiedziała, gdzieś w zaciszu i teraz sumienie ruszyło... — odparł kolejarz i pokiwiał głową.

Mężczyzna poczuł się niedobrze. Wydawało mu się, że drzewa i dom pochylili się w jego stronę, jakby chciały go zmiażdżyć. Kolejarz zauważył to:

— Co pan tak zblił? Pewnie serce, jak u mnie?

Mężczyzna pokręcił głową i odparł: — Zaraz przejdzie. Kilka głębszych wdechów i będzie lepiej.

Kolejarz przyjrzał się mężczyźnie i po zastanowieniu powiedział:

— A wie pan co? My to się chyba znamy... Tylko skąd? Szpakowaty właściciel Volkswagena uśmiechnął się, jakby zjadł kwaśne jabłko:

— Przypadek. Jestem tutaj pierwszy raz.

Kolejarz machnął wreszcie ręką: — Chyba. Tyle tych wczasowiczów już u mnie mieszkało, że mogło mi się przewidzieć.

HENRYK DUDEK

— Mała, idź stąd. — Nie — odpowiedziała — i jak zabawka — manekin dalej krążyła człapiąc kapiami. — Dlaczego masz takie duże buty? — Bo mam duże nogi — odparła nie zatrzymując się. — Musisz tu chodzić? — Wcale nie. — To czemu łazisz? — Bo lubię. — Ale mi przeszkadzasz. Przynajmniej nie szuraj. Dobra? — Rudy jesteś — stwierdziła.



— No jestem — przyznałem zły. — Jak August — powiedziała z przekonaniem. — Jaki August? — czułem, że wolno trafia mnie szlag na tę cholerną smarkulę. Stała na moment. — W cyрку. — Acha. Kiwnąłem głową, a ona poszła dalej, ale wróciła za chwilę. — Lubisz cyrk? — Nie, Augusta tylko lubię. Sympatyczny zadatek na człowieka, pomyślałem. — Te, mała stań. Pogadamy. — O dziwo stanęła. Tylko z kolei zaczęła podskakiwać raz na jednej, raz na drugiej nodze i to tak fikuśnie, że buty zostawały na miejscu. — Nie możesz stać spokojnie? Masz robaki? — Nie mam. — To czego podskakujesz. — Bo muszę. — A, jak musisz to trudno — pogodziłem się. Lepiej niż ma szurać, pomyślałem.

— Jesteś wariat? — No, tak o mnie mówią — przyznałem się wbrew sobie. — Ja też jestem — oznajmiła z wyraźnym zadowoleniem. — Lubię cię, wiesz? — Skąd mogę wiedzieć? Jak masz na imię? — Nie wiesz? — Nie. — Człik. — Człik? Powtórzyłem nie wiadomo czemu zachwycony. — Tak, — powiedziała i podskoczyła na obydwa nogach. Zauważyłem, że i mnie ramiona drgały w takt jej podskoków. — Nigdy nie słyszałem takiego imienia. — Człik, to znaczy kurczak — wiesz? — No, teraz wiem. Myślę, że to fajnie być kurczakiem. — A kto ty jesteś? — Sam nie bardzo wiem Człiku, ale mówią, że opryszek. — Opryszek? To kto? — I nachyliła się w moją stronę. — To taki zbój — wyjaśniłem. — Jak Sarko — Farko? — Prawie. — To strasznie fajnie. — E, bez przesady. A ty Czliku czym będziesz?

— Dentystą. Będę borować ludziom w zębach. A oni będą wrzeszczeć. Skrzywił mi się pysk na wspomnienie wiertła. — Albo będę maszynistą na kolei. Będę wpychała węgiel do pieca. Będę gwizdała i pojadę w świat. — Chyba lepiej żebyś została maszynistą. — Czliku. Córeczko. — Mama, Muszę iść. Mogę cię zbój pocłować? — No pewno. — Cmoknęła mnie w policzek i pobleła. — Nagle zrozumiałem, że uciekła mi wielka szansa i zerwałem się z ławki. — Czliku — krzyknąłem. — Przystanęła. Szerokim zamachem ręki przywołała ją.

— Słuchaj, a może byś mnie zabrała? Zostałbym konduktorem w tym nocie, gdzie ty bedziesz maszynistą? Mam wielką ochotę. — Dobrze. Ale musisz zacząć od tego. — To jasne — przytaknąłem z wielką ulgą.

ANDRZEJ SROCYŃSKI

EWA FILIPCZUK

SEZON W PIEKLE

*Życie wolnością jest i ehoćdm je przegrała
Nigdy nie zneć mnie dziewiąty piekła krąg;
Sezon tam zawsze trwa, wiecznie otwarta brama.*

*Gorzki wygnanców los, bo ziemia jest za mała,
Zbyt kruche porty są, a sezon w piekle trwa.
Dusze rozwieje wiatr, nadzieja spali ciała.*

*Wolność z wygnania rąk, ta głęboka biała
Nigdy nie zneć mnie do otworzonych bram,
Życie zbyt kruche jest, nie po to je wybrałam.*

STANISŁAW BOGUSZEWSKI

W ZAPRZĘGU

*W zaprzęgu — hajda trojka
a śniło mi się na pewno
i tylko nie wiem
kto powoził
Charon, ja czy dorożkarz
więc w zaprzęgu
pierś w pierś
noga w nogę
Aglaja
Euphrosyne
Thalia*

*(Greczynki mają czarne oczy
ze złotym bliskiem
gdy wesołe)*

*i było tak
jak w starej epopei
kierunek — Richtung i wperiod
Charyty ciągną do kąpiel
już błękitnieje
Adriatyku step,
już się zapala iskierkami woda
w powietrzu słono
w ustach pot
Charyty ciągną do kąpiel —
w szarych komórkach
moich, własnych
dostała kręćka róża wiatrów
północ, południe
zachód, ost.
i już to było
już pisałem
w zaprzęgu — hajda trojka
a śniło mi się na pewno — hajda trojka
i tylko nie wiem, kto powoził
hajda trojka, hajda trojka...*

GRZEGORZ KOŚCIŃSKI

PALENIE LISTÓW

*To tak, jakby do Ciebie powracał czas przeszły —
— zapomniane zdarzenia, cudzy ból i radość,
istnienia wygaszone, wypalone do cna —
— Ci obcy teraz, a przecież tu Obecni.*

*Ten głos natrętny jeszcze wciąż Cię prosi o nic.
O drobny dawniej niespełniony. O przywrócenie wiary,
by wejść z Tobą pod myśl w ogień. By ugasić
pragnienie już zmęczone, zmęczone dni.*

*Delikatnie otwiera drzwi ręka dziwnie znajoma:
w niebieskich żyłach płynie czerwony atrament.
Piszą nim czyjeś życie, czyjeś oczy i usta
i umiera bezzilnie czyjeś oczekiwanie u Twej dłoni;
a może śmierć lub koleina jesiennej drogi
wobita w odległość, która jeszcze śpi u Twej żrenicy,
czuwając nad obszarem minionego Ciebie
i sącząc popiół krwi przez Twoje Ciało?*

„SVENSKA DAGBLADET” — Sztokholm

Fińskie wydawnictwo „Tammi” nie wyda „Archipelagu Gulag” Aleksandra Solżenicyna. Decyzja taka zapadła na konferencji rady administracyjnej wydawnictwa. Członkowie rady postanowili jednomyślnie, iż dywagacje na temat książki uczyniłyby z tej publikacji kwestię polityczną, a wydawnictwo liczy się z opinią rządu. Rząd stoi na stanowisku, iż publikacja ostatniej książki Solżenicyna byłaby szkodliwa dla interesu publicznego.

„THE SUNDAY TIMES” — LONDYN

Miliony japońskich czytelników „Playboya”, „Penthouse’a” i innych magazynów „tylko dla mężczyzn” przeżywa u nich niepokój. Artykuł z japońskich przepisów celnych zabrania importu reprodukcji fotograficznych, na których widnieją przesłonięte wprawdzie włosami, ale, bądź co bądź, intymne miejsca ciała ludzkiego. Kontrowersję między urzędem celnym a importerami i dystrybutorami magazynów załatwiono kompromisowo: importerzy depeszują do urzędników celnich o nadejściu magazynów, a ci, uzbrowieni w małe pędzelki, skrupulatnie pokrywają tuszem zakazane rejon. Ta uboczna praca, szczególnie poszukiwana przez studentów, jest wcale dobrze płatna: około 50 jenów za, mniej więcej, 2000 precyzyjnych pociągnięć pędzelkiem w ciągu dnia. Ostatnio jednak celnicy ostro zaprotestowali. Powód: dystrybutorzy wykonali brzydki chwyt poniżej pasa — trzykrotnie podwyższyli cenę magazynów, informując jednocześnie o ingerencji cenzury celnej. Takie coś pobudza wyobraźnię konsumenta, a to kosztuje. Tym razem kompromisowe załatwienie sprawy nie będzie chyba łatwe, tymczasem biznes rozkręca się znakomicie.

„INTERNATIONAL HERALD TRIBUNE” — Paryż

W ciągu jednego roku ilość mieszkańców kuli ziemskiej zwiększyła się o 70 milionów i wynosiła 3,782 miliony ludzi. Takie dane statystyczne z czerwca 1972 roku podaje Rocznik Demograficzny ONZ.

Ponad połowa mieszkańców naszej planety zamieszkuje Azję — 2,154 mln ludzi. Europa liczy 469 mln mieszkańców, a Północna Ameryka — 332 mln. Związek Radziecki zamieszkuje 248 mln mieszkańców (W 1973 roku liczba ludności w ZSRR wynosiła już 250 mln).

Chiny liczą 800,721 tys. mieszkańców, Indie — 563,494 tys., USA — 208,842 tys., Indonezja — 121,630 tys., Zachodnie Niemcy — 61,674 tys., Bangladesz — 60,675 tys., Nigeria — 58,020 tys. Te kraje oraz Związek Radziecki wchodzi do pierwszej dziesiątki krajów pod względem liczby ludności.

Najgęściej zaludnionym miastem świata jest Szanghaj z 10,820 tys. mieszkańców, za nim idzie Tokio — 8,230 tys. mieszkańców, następnie Nowy Jork — 7,894 tys., Pekin — 7,570 tys. i Londyn — 7,418 tys. mieszkańców.

„OBSERVER” — LONDYN

Pięć lat temu specjaliści z Pentagonu postanowili wykorzystać delfiny do praktycznych celów wojskowych. I tak oł delfin stał się obiektem zainteresowania marynarki wojennej USA, która „rozpatruje” go z punktu widzenia „środków operatywnego transportu” ładunków o wadze do 45 kilogramów oraz jako żywą łódź podwodną sterowaną przy pomocy aparatury akustycznej czy też radiolokacyjnej w promieniu kilkaset kilometrów. W bazie marynarki wojennej w Pearl Harbor te zadziwiająco dyspozycje delfinów wykorzystuje się już praktycznie. Wojskowi z dowództwa bazy nie ukrywają, iż delfiny wykonywały „zadania widowcowe i poszukiwawcze” na terytorialnych wodach Wietnamu. James Fitzgerald, szef specjalnego laboratorium centrum badań podwodnych armii amerykańskiej, kieruje pracami mającymi na celu „przyjęcie delfinów do służby wojskowej”. Niektórych jeco podopiecznych przewieziono już do pełnienia służby ochronej przy poszczególnych jednostkach morskich. „Ich” delfiny rozpoznają „własne” okręty po miosących lub miedzianych płytach przytwierdzonych do kadłubów okrętów. Fitzgerald twierdzi, iż delfiny wykonują swoje zadania wojskowe w stu procentach. Specjaliści Pentagonu przeprowadzali także próby z różnymi rodzajami „broni delfinów”. Wśród tego arsenału znajduje się wydrążony wewnątrz przyrząd, przypominający wielki sztylet, nalaowany nabojem z dwutlenkiem węgla. Jego struga szybko i bezgłośnie poraża przeciwnika. Wprzeżnięcie delfinów do tej „brudnej roboty” wywołuje falę protestów społeczeństwa amerykańskiego.

W odczuciu wielu Amerykanów „wiodące” kompanie naftowe są głównym winowajcą trudności, które dziś przeżywają Stany Zjednoczone. „Wielką naftę” poddano ostrej krytyce. Od czasów kryzysu w 1929 roku ani jedna gałąź produkcji przemysłowej w USA nie znalazła się w ogniu tak gwałtownych ataków. Pod naciskiem opinii publicznej, Kongres i stanowe władze ustawodawcze wszczęły kilkadziesiąt spraw próbując zbadać różne aspekty działalności kompanii naftowych. Wysłęto nawet poważny zarzut o nielojalności korporacji naftowych wobec własnego kraju.

Niektórzy krytycy ciemnych praktyk korporacji zapytują wprost, czy można do tego dopuścić, żeby dziedzina przemysłu, odgrywającego tak wielką rolę w ekonomii Stanów Zjednoczonych, praktycznie rzecz biorąc, nie miała nad sobą nadzoru i kontroli?

Pytania idą nawet dalej: czy interesy kompanii naftowych odpowiadają interesom narodu amerykańskiego? Czy kompanie naftowe wręcz nie okradają skarbu państwa, korzystając z nieuzasadnionych ulg podatkowych? Czy nie wywierają one wpływu na kształtowanie wewnętrznej polityki kraju, służącej ich własnym interesom, a szkodliwej dla narodowych interesów USA? Czy korporacje naftowe nie zawarty tajemnego porozumienia, mając na uwadze zrujnowanie mniejszych firm? I czy, ko nie końców, nie rozdeły one tego całego kryzysu energetycznego, żeby po prostu podwyższyć ceny?

Istotnie, ceny na naftę skoczyły pod niebo. Amerykanie nie wątpią, iż korporacje krzyczą o kryzysie nabijając tymczasem własne kieszenie. Niezależnie od wydarzeń na Bliskim Wschodzie, zainteresowanie opinii publicznej „wielką naftą” w USA, ogólnie niezadowolone z działalności korporacji będą rosnąć w miarę, jak coraz bardziej wyrażisty będzie obraz tej najpotężniejszej gałęzi przemysłu, której wszystkie operacje otacza głęboka tajemnica.

Już nawet to co wypłynęło na powierzchnię, jest dostatecznie pikantne. Pod względem skali swoich operacji, przemysł naftowy pozostawia daleko w tyle wszystkie pozostałe gałęzie przemysłu USA. Na przykład z dwudziestu największych koncernów USA, siedem — to koncerny naftowe. Chociaż w oczach społeczeństwa amerykańskiego symbolem giganta monopolistycznego jest „General Motors”, to w rzeczywistości aktywa „Exxon” są znacznie większe. W ubiegłym roku ten naftowy kolos „utargował” więcej pieniędzy, niż jakakolwiek inna kompania na przestrzeżeni całej światowej historii ekonomiki. Chociaż w USA istnieje około 12,000 kompanii naftowych, to jednak główną rolę w tej gałęzi przemysłu odgrywa grupa wielkich korporacji. Wiele z nich stanowi w istocie organizacje międzynarodowe. Obracają one, jak na przykład „Exxon” Corporation, każdą walutą, w przeróżnych krajach, w nieprawdopodobnie złożonych spłotach stosunków ekonomicznych, socjalnych i politycznych. Wszystkie te korporacje są „zintegrowane pionowo”, inaczej mówiąc — nie tylko wydobywają naftę, ale także kontrolują jej transport, przetwórstwo i zbytnie.

Potęga dwudziestu „wiodących” kompanii naftowych rozrosła się do przerażających rozmiarów. Kontrolują one 94 proc. amerykańskich zasobów ropy naftowej, 70 proc. jej wydobycia, 86 proc. przetwórstwa nafty i 79 proc. zbytu benzyny w USA. Nawet samo określenie: „kompania naftowa” — wprowadza w błąd, ponieważ rozmach operacji „wiodących” kompanii jest o wiele szerszy. Kontrolują one bowiem wielkie zasoby węgla, ponad połowę zasobów uranu i większą część wydobycia gazu ziemnego w USA. „W skali światowej — powiedział korespondentowi jednej z gazet amerykańskich ekspert od spraw korporacji naftowych — aktywa „wiodących” kompanii ustępują tylko aktywom państwowym USA, Związku Radzieckiego i Wspólnego Rynku”.

Ekonomiczna potęga, opierająca się na podobnej koncentracji środków, nasuwa wniosek, iż kompanie naftowe mogą robić i w rzeczy samej robią, wszystko co im się żywnie podobą, nie licząc się z nikim i z niczym. Ogólnie rzecz biorąc zarzucają się do naruszania ustawy antytrustowej, nadużywania podatkowych i nadmiernego oddziaływania na wewnętrzną politykę USA. W lecie ubiegłego roku federalna komisja handlu oskarżyła siedem

„wiodących” firm: „Exxon”, „Texaco”, „Gulf Oil”, „Mobil Oil”, „Standard Oil of Indiana”, „Shell Oil” i „Atlantic Reachfield” o naruszenie ustaw antytrustowych. Zarzuca się im próby monopolizowania rynku przy pomocy „tatyki wykluczania”. Metoda ta polega na ograniczaniu dostaw ropy naftowej niezależnym firmom przetwórstwa nafty oraz ograniczania sprzedaży przetworów naftowych niezależnym hurtownikom i detalicznym kupcom. Wszystkie kompanie z furją odrzucają te oskarżenia. Ale fakt pozostaje faktem. W ostatnich latach tysiące niezależnych detalicznych kupców, mnóstwo niezależnych kompanii przetwórstwa naftowego wypadło z rynku mimo, iż zapotrzebowanie na produkty naftowe wzrosło w tym czasie bardzo znacznie. „Wiodące” kompanie, wykorzy-

USA. Ulgi te stanowią rekompensatę za płatności podatkowe na rzecz tych krajów zagranicznych, w których kompanie te działają. Jest to złota żyła kompanii naftowych. W 1972 roku siedem największych międzynarodowych kompanii naftowych zapłaciło krajom Bliskiego Wschodu 9 i pół miliarda dolarów. Chociaż dwie kompanie: „British Petroleum” i „Royal Dutch Shell” nie są amerykańskie, niemniej pozostałych pięć wyłudziło ze skarbu USA, tytułem rekompensaty nakładów za granicą, a ściślej mówiąc z kieszeni amerykańskich podatników, fantastyczne pieniądze. Obecnie robi się próby wyjaśnienia tych ulg podatkowych.

Takie czy inne trudności, na które natrafiają obecnie koncerny naftowe, nie umniejszają bynajmniej ich potęgi. Do amerykańskich koncernów naftowych należy większość zakładów przetwórczych, zbiornikowców do transportu ropy naftowej oraz liczne filie zbytu paliwa. „Wielka nafta” bez wątpienia utrzymuje swoje pozycje i władzę. I słuszne są głosy, które twierdzą, iż w okresie kryzysu energetycznego naród amerykański był zdany na łaskę kliki korporacji. Ujawnianie obecnie fakty trzydziestoletniej działalności „wiodących” kompanii zarówno na Bliskim Wschodzie, jak i w samych Stanach Zjednoczonych tworzą „łańcuch grozy” — jak określała to eksperci, a społeczeństwo amerykańskie utwierdza w przekonaniu, że okradają one naród amerykański. Wiadomo już, iż próbuje się znaleźć pretekst do wstrzymania śledztwa, oczywiście „ze względów bezpieczeństwa narodowego”.

Kompanie naftowe, chcąc nie chcąc, musiały się przyznać, że otrzymują ulgi, o jakich inne gałęzie przemysłu mogą tylko marzyć. Na przykład „Mobil Oil”, z tytułu opodatkowania, płaci Arabii Saudyjskiej 5,56 dolara za każdą baryłkę nafty przy cenie 7,12 dolara za baryłkę. Ale w Stanach Zjednoczonych kompania otrzymuje kompensacyjną niższą podatkową według zasady „dolar za dolar”. W wyniku tego konsumenci płacą za naftę zbyt wysoką cenę, a korporacje „oszczędzają” na podatku dochodowym, który płacą w USA, około trzech miliardów dolarów...

Akurat w momencie, kiedy amerykańscy przemysłowcy naftowi zapewniali Kongres o swojej całkowitej bezinteresowności i niewinności, a głównie o tym, że nie zarabają ani centa na kryzysie energetycznym, zaczęto publikować sprawozdania finansowe za 1973 rok. Dane tych raportów utwierdzają oskarżenia pod adresem kompanii. Na przykład zyski „Exxon” wzrosły o 59 proc., sięgając ponad dwóch miliardów dolarów. Jedną kompania przemysłowa nigdy nie zagarnęła takich zysków. Wydarzenie bez precedensu. Również dochody innych kompanii naftowych osiągnęły w tym czasie zaskakujące rozmiary. Państwo w państwie.

Na zakończenie warto odnotować, iż wielkie skandale naftowe, powiązane z ciemnymi machinacjami międzynarodowych kompanii naftowych, wybuchły także w innych krajach kapitalistycznych.

JERZY CZECH

UKŁAD PRZYJAŹNI

11 kwietnia 1945 roku podpisany został układ radziecko-jugosłowiański, od grudnia 1943 roku istniał już analogiczny układ czechosłowacko-radziecki. Oczekiwany układ polsko-radziecki miał być zawarty w podobnej formie i na podobnych zasadach. Wypełniłby on „lukę w planie współpracy narodów słowiańskich, byłby logiczną konsekwencją nie tylko analogicznych przeżyć, ale zbliżonych dążeń” („Rzeczpospolita” z 14.IV.1945 r.). Zebrania i wiece oraz manifestacje nasiliły się w Polsce po 11 kwietnia i były czynnikiem szczególnej pozytywniej formy nacisku na Rząd Tymczasowy, aby przyspieszył formalne podpisanie paktu polsko-radzieckiego. W sprawie tej delegacja Rządu Tymczasowego przebywała w Moskwie już w styczniu 1945 roku, przedstawiając propozycję zawarcia układu sojuszniczego między Polską a ZSRR.

Na szczególną uwagę zasługuje postawa łódzkiej klasy robotniczej, która dając wyraz swojej dojrzałości politycznej domagała się od Rządu Tymczasowego podjęcia konkretnych czynności dyplomatycznych w celu podpisania ze Związkiem Radzieckim analogicznego układu, jakim był układ radziecko-jugosłowiański. Robotnicy fabryki Poznańskich w swojej rezolucji oświadczyli: „...zwracamy się z prośbą, aby nasz Rząd Tymczasowy poczynił starania w kierunku zawarcia ze Związkiem Radzieckim układu o przyjaźni i współpracy powojennej” („Rzeczpospolita” z 14.IV.1945 r.). Również załogi innych łódzkich fabryk wypowiadały się w podobny sposób. Za polską klasą robotniczą nie pozostawała w tyle i wieś polska.

Nie sposób tu wymienić wszystkich wypowiedzi wybitnych ludzi nauki i

kultury, ale jako charakterystyczną należy przytoczyć wypowiedź ks. bpa A. Szlagowskiego, który oświadczył:

„Z całego serca pragnę Polski niepodległej, wolnej i silnej. Rozumiem i zdaję sobie sprawę, że może ona być taką jedynie, jeśli oprze się na sojuszu ze swymi sąsiadami słowiańskimi, a przede wszystkim ze Związkiem Radzieckim, który okazał tak wielką pomoc w oswobodzeniu Polski spod przemocy niemieckiej” („Głos Ludu” z dnia 18.IV.1945 r.).

Urzeczywistnienie dążeń społeczeństwa polskiego nastąpiło w czasie trzeciego pobytu w Moskwie delegacji Rządu Tymczasowego. Przybyła ona do stolicy Kraju Rad 19 kwietnia 1945 roku. Projekt układu przygotowany został wcześniej, a 16 kwietnia wniesiony na porządek posiedzenia Rady Ministrów. W wyniku dyskusji nad projektem Rada Ministrów upoważniła premiera i ministra spraw zagranicznych do podjęcia rozmów z rządem ZSRR.

Układ, podpisany na Kremlu 21 kwietnia 1945 r., stał się fundamentem polskiej polityki zagranicznej. Ze strony radzieckiej podpis na tym historycznym akcie złożył Stalin — co było wyjątkiem w dyplomatycznej praktyce radzieckiej — ze strony polskiej premier Rządu Tymczasowego, E. Osóbka-Morawski.

Jeśli wnikać w treść artykułów układu, których jest zaledwie 8, to ukaże się w nich cała ich historyczna istota oraz dziejowa wielkość o znaczenie układu. Artykuły układu są w gruncie rzeczy wykładnią zawartych we wstępie idei politycznych, który-

mi strony podpisujące go kierowały się. Układ polsko-radziecki z 21 kwietnia 1945 roku przykuwa uwagę czytelnika niezwykłą prostotą sformułowań i wyczerpuje zakres treści którą określała: idea przyjaźni, idea pomocy wzajemnej, idea współpracy powojennej.

Spółeczeństwo polskie zareagowało na podpisanie układu spontanicznie, organizując manifestacje, zebrania, wiece. Manifestowała Warszawa, Łódź, Kutno, Rzeszów, Żyrardów, Dąbrowa Górnicza, Poznań i inne miasta. Wyrażali swoje poparcie dla układu robotnicy, chłopci i inteligencja. W podejmowanych rezolucjach wyrażano jednogłośnie poparcie dla Rządu Tymczasowego RP, który wprowadził Polskę na drogę rozkwitu, siły i bezpieczeństwa, drogę sojuszu ze Związkiem Radzieckim.

Istotne układu polsko-radzieckiego najlepiej oddają słowa, które redakcja „Rzeczpospolitej” umieściła w artykule wstępnym. Czytamy tam m. in.:

„Rząd Tymczasowy podpisując układ zabezpieczył niepodległość Polski. Układ ten z innymi układami tworzy podstawę bezpieczeństwa europejskiego. Polska potrzebuje pomocy Związku Radzieckiego, a Związek Radziecki potrzebuje silnej Polski” (22.IV.1945).

JAN JUSZCZYK

ZDARZENIA ZWIERZENIA?

Dwa tygodnie temu zadalem w tym miejscu retoryczne pytanie: „kto kupi rozrywkę?” Pytanie było retoryczne, bowiem wiadomo z góry, że rozrywkę kupi każdy. Mogłoby, oczywiście, dodać jeszcze stereotypowy zwrot, że „każdy kupi dobrą rozrywkę”, ale to nieprawda.

Ludzie kupią rozrywkę nawet, jeśli nie jest najwyższej próby. Tak niesłusznie jest czy się to nam podoba, czy nie...

W czasie Polskich Targów Estradowych uważnie obserwowałem wielotysięczną widownię Hali Sportowej i widziałem przecież jak publiczność z aplauzem przyjmuje tandetną Kapelę Podworkową, jak ze zniecierpliwieniem czeka końca występu „Camer-Tonu”, choć między tymi dwoma zespołami istnieje nie tylko różnica stylu i konwencji, ale po prostu przepaść. „Camer-Ton” prezentuje bowiem kulturę, talent i poziom — Kapela zaś najbardziej typową chałturę.

Rozumiem, oczywiście, że w dużych, halowych imprezach nie zawsze musi się sprawdzać wykonawca kameralny, trudny i nie

śpiewający pod publiczność i rytmiczne poklaskiwanie... Wiem jednakże i to, że owe duże halowe koncerty dowiodły braku wyrobienia publiczności. Ergo — dowiodły, że potrzebne są nam imprezy estradowe nie tylko jako rozrywka, ale także jako instrument kształcenia smaku odbiorcy.

Polskie Targi Estradowe były taką lekcją, czymś w rodzaju sondy na temat stanu świadomości artystycznej odbiorcy w dziedzinie najbardziej masowej sztuki — estrady.

Były także przykładem rozmachu i sprawnej organizacji Stowarzyszenia Muzyki Estradowej. Niektórzy mówią też, że były klasą Przedsiębiorstwa „Estrada”. I tu bym się nie zgodził. Owszem — Targi były niewątpliwie cieniem ale nie tyle w samą „Estradę”, co w pewną koncepcję działania — koncepcję, jaką narzuciło przedsiębiorstwo estradowe.

Bowiem nawet geniusz organizacji i menager estradowy z prawdziwego zdarzenia na stanowisku dyrektora „Estrady” nie byłby w stanie w ramach

ograniczeń, sztywnych przepisów, stawek i norm — doprowadzić do imprezy o takim rozmachu. Po prostu „Estrada” wtłoczona w sztywne przepisy nie może sobie pozwolić na działalność elastyczną i w dużym stylu.

I choć sukces Targów jest niewątpliwie sukcesem SME i jego szefa, fakt, że błędne jest ustawienie Stowarzyszenia w opozycji do „Estrady” czy odwrotnie. Sukces Targów jest sukcesem określonej koncepcji działalności estradowej. Można oczywiście dyskusyjnie czy „Estradę” stać na realizacji takiej elastycznej koncepcji (a elastyczność potrzebna jest wszędzie tam, gdzie chodzi o sztukę) — ale byłaby to dyskusja bezprzedmiotowa. Aktualnie sytuacja jest taka, że „Estrada” w tych ramach, w jakich działa, nie może realizować imprez o dużym rozmachu i nie jest w stanie podejmować inicjatyw na ogólnopolską skalę.

Pisać „w tych ramach” mam na myśli ogromny zespół czynników i zależności, które zainteresowani znają dobrze, ale o któ-

rych nie czas mówić w tym miejscu i przy tej okazji. Fakt jest, że w czasie czterech dni Targów Estradowych, dzień po dniu, koncert po koncercie narastała w nas świadomość, że oto rodzi się w mieście impreza masowa na skalę kraju, że stać nas na przedsięwzięcie bardzo istotne w dziedzinie masowej kultury.

Nie zaskodził tej imprezie brak zainteresowania ze strony Ministerstwa Kultury, a ponieważ natura nie znośi próżni, w miejsce Resortu znalazł się Przemysł, który ostatnio coraz częściej mecenasuje kulturę. Łódzkie Zakłady Teofilów-Bistor dotowały Targi sumą pół miliona złotych, blisko 100 tysięcy dał Urząd m. Łodzi, dołożyła się też Telewizja — Łódź, patronował imprezie „Głos Robotniczy”...

I w ten sposób mamy w Łodzi imprezę, która za lat parę może stać się najgłośniejszym w kraju dorocznym pokazem polskiej twórczości estradowej.

WIDOK

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY



ART BUCHWALD

Nie od dziś wiadomo, że Amerykanie nie lubią próżnować, jeżeli w tym czasie można zarabiać. Ale kiedy jeden człowiek potrafi uporać się z obowiązkami korespondenta 450 czasopism sprawa staje się zgola tajemnicza. Oczywiście, dobrze poinformowani ziołolowcy zaczynają przebąkać o rzyszach „murzynów” w pocie czoła harujących na literackiego latyfundystę i impresaria w osobie mistrza groteskowej mistyfikacji i mito-fikcji, człowieka obdarzonego wielkim poczuciem humoru, felietonisty amerykańskiego o rekordowej ilości tłumaczeń na języki obce, Art Buchwald. Laureat „Nagrody Dobrego Humoru”, ostrzelany z prawa i z lewa, ścigał na swoją głowę niejednokrotnie zarzut, iż jest agentem międzynarodowego komunizmu i skrajnej prawicy zarazem.

Sam Buchwald najlepiej czuje się w roli liberała, rzecznika młodzieży i orędownika takiego pokoju, jakiego mogą sobie życzyć warstwy zamożnej inteligencji. Chętnie podkreśla swój krytyczny stosunek do policji, świata wielkich biznesmenów i skorumpowanych polityków. A że równocześnie zachowuje odpowiedni dystans w stosunku do ruchów radykalnych — niezagrożony płynie przez życie zbierając poklask i dolary.

Z lubością afiszuje się ze swoim lekcjeowaniem FBI, symbolu zagrożenia amerykańskiego „człowieka pocztowego”, choć nie brak głosów zarzucających mu współpracę z Federalnym Biurem Śledczym.

Zainteresowany doskonale czuje się w atmosferze wykluczających się skandalicznych oskarżeń i plotek, żartobliwie je podnieca w szwedzkiej udzielanych wywiadach, sprowadza swoją biografie do absolutnej groteski i pociesza zaniepokojonego Amerykanina, że wszystko jest jak dawniej, jak w czasach Twaina, że stary pocztowy Wuj Sam pozwala śmiać się i sam wybucha śmiechem od czasu do czasu.

Do czasu... — jak echo powtarzają sceptycy i zacierają ręce obserwując niebezpieczne numery trapezowe, na jakie pozwala sobie Art pod samą kopułą.

Ale wtajemniczeni twierdzą, że sztuczki te są tylko pozornym zagrożeniem, a poza tym, że dzielnego linoskoczka zastępują wysoko ubezpieczeni dublerzy.

TŁUMACZ

W naszym kraju prawie nie dostrzegamy różnicy między pokoleniami, dopóki nasze latorki nie wrócą z kolegi na ferie. Wtedy dopiero przekonujemy się, jak dalecy jesteśmy od swoich dzieci.

Prawdopodobnie, w tych dniach w całej Ameryce słyszy się takie rozmowy:

— Nancy, już od trzech dni przebywasz w domu. Dlaczego ani razu nie sprzątnęłaś swego pokoju?

— W kolegu nigdy tego nie robimy, mamo!

— Widzę, że cieszy się tam

zbyć się tych przyzwyczajęń. Tak krótko pobędziesz w domu, Nancy, i nawet nie chcesz ucieścić rodziców?

— Mój Boże, jestem przecież dorosła! Dlaczego odnosicie się do mnie jak do niemowlęcia?

— Dalecy jesteśmy od tego, aby traktować cię jak dziecko. Choć, przyznam, że trudno uwierzyć w twoją pełnoletność, kiedy się zważy, że swoją odciele rzucasz na ziemię.

— Przepraszam, nie całą bierz!

— Wybacz, przesadziłam. Ale brudne talerze, szklanki i opróż-

ZATRUTE FERIE

daleko posunięta swoboda. Ale chciałbyśmy, żebyś, w rodzinnym domu sprzątała swój pokój.

— Ciekawe, w czym wam przeszkadza bałagan u mnie. Przecież mam swoją własną sypialnię.

— Oczywiście, kochanie, dla mnie to istotnie nie ważne. Ale twój ojciec boi się dżumy. Dziś rano powiedział, że przy czółkiem choroby w tym mieszkaniu będzie twój pokój.

— Ależ mamo; zanieczyszczenia przemysłowe stwarzają znacznie poważniejsze zagrożenie!

— Ogromnie mnie to niepokoi, ale teraz twój pokój stanowi dla nas bardziej realne niebezpieczeństwo. Przecież od kiedy przyjechałaś do domu, ani razu nie sprzątnęłaś pościeli.

— W kolegu nigdy...

— Rozumiem i nie wątpię, że cały zaoszczędzony czas poświęcasz nauce. Ale, niestety, nasze staromodne zapatrywania nakazują rano chować pościel i w żaden sposób nie możemy po-

nione puszk walające się na stole też mi działają na nerwy. — Mamo, nie rozumiesz nas, bo winne jest temu twoje wychowanie: dla was najważniejsze są czyste pokoje. Dla nas — najcenniejsze to, co człowiek ma w głowie.

— Nikt tak nie ceni wykształcenia jak ojciec i ja, zwłaszcza, że na twoje — słono placimy. Nie rozumiemy jednak jak brudny mogą dogadzać człowiekowi na pewnym poziomie.

— To dlatego, że jesteście zbyt starzy. Wolicie, abym ślała łóżko i pilnowała swojej odciele, niż żebyś stała się niezależnie myślącą jednostką.

— Zaręczam, że nie chcemy wymyślać zakazów dla twojej swobodnej natury. Po prostu skończyło się działanie zaaplikowanej nam ostatnio szczepionki antytyfusowej.

— Dobrze! Posprzątam w swoim pokoju, jeżeli to jest dla ciebie aż tak ważne, ale wiedzę, że zatrulaś mi całe ferie!

(p)

LEWYM
OKIEM

MICHAŁKI

DLA POTOMNYCH

O literaturze i sztuce a może nawet szerzej — o wszelkich sprawach humanistycznych można nieskończenie. Na tym terenie nie ma — na szczęście dla nas, wiecznych poszukiwaczy — prawd ostatecznych, nie ma sądów obiektywnie sprawdzalnych, wszystko jest stawianiem się, ruchem, dyskusją, interpretacją. Co krok napotyka się na sformułowania i tezy, czy też, używając modnej szlapy — na „proponycje”, z którymi nie zgadzamy się i mamy ochotę natychmiast zgłosić sprzeciw, lub choćby poprawkę. Bardzo to jest uroklive, taka ciągła przymiarka, ciągłe szukanie, ferment, gotowość do podejmowania prób definicji. Czasem jednak wydaje mi się, że w artykułach i esejach na temat sztuki pogodzić efektem, za błyskotką słowną, za pozornie głębokim paradyksem przesłania wszystko inne i że nie jeden piszący przestaje się liczyć nawet ze swoim własnym, prawdziwym przekonaniem, nie mówiąc o uczciwym dążeniu do maksymalnego zbliżenia się ku prawdzie.

Witold Filler w jednej ze swych recenzji telewizyjnych w „Perspektywach” domaga się więcej michełków kulturalnych w programach TV, a zwłaszcza w dzienniku. Proszę bardzo, michełki bywały często bardzo zabawne i ciekawe. Ale Fillerowi chodzi właśnie o więcej michełków nudnych. „Kto wie — pisze — czy dzisiejsze mikrospawy z dziedzin kultury, które nas często śmieszą lub nudzą, po kilkudziesięciu latach nie okazały się dokumentem z rozwoju kultury?”

Inaczej mówiąc: nieważne że będziemy dziś jutro i pojutrze oglądać nudne bzdurki. Ważne, że za kilkadziesiąt lat ktoś to wszystko odkopie w archiwach, odkurzy, poskleja i będzie z tego wypaczał syntezę na temat naszych czasów. A Pan Bóg że z uczonymi badaczami z dwudziestego drugiego wieku!

Czy Filler naprawdę uważa, że cały sens naszego krótkiego na tej ziemi bytowania polega na dostarczeniu materiału do badań historykom? Nie wierzę, że tak uważa. Nie wierzę, że powinniśmy nieustannie czuć się jak rozwielitka pod mikroskopem albo jak samozapisujący się dokument do odstawienia na półkę. Żyjmy, twórzmy programy telewizyjne dla siebie, nie dla potomnych, takie, które nas samych interesują bawią i uczą.

W przedmowie do „Scenariuszy” Bergmana uczony filmolog, Kazimierz Młynarz, stwierdza o jednym z filmów wielkiego Szweda, że „przypomina tę zasadniczą

prawdę, że cokolwiek czynimy, liczy się włożony wysiłek a nie ostateczny rezultat”. Nie widziałem akurat owego filmu („Persona”), chociaż był u nas wyświetlany. Nie wiem, czy celem reżysera było właśnie przypomnienie sformułowanej jak wyżej „zasadniczej prawdy”, która przecież jest absolutną nieprawdą. To nieprawda, że liczy się wysiłek, a nie ostateczny rezultat. Choćby to nie wiem jak nas bolało, liczy się wyłącznie rezultat. Nikt nie pyta sportowca jaką drogą doszedł do swego rekordu. Czy zdobył go dlatego, że Bozia natury obdarzyła go szeregami warunkami fizycznymi (słyszałem o pewnym bardzo wielkim biegaczu, którego tętno było dopiero po przebiegnięciu kilometra równe tętnu normalnego człowieka w stanie spoczynku), czy też drogą nadludzkich, morderczych treninów. Cedule całego świata odnotują wyłącznie olimpijski czas rekordzisty.

Nikt nie różnicuje matur i naukowych dyplomów w zależności od tego, jakim trudem i jakim kosztem zostały zdobyte. Dyplom to dyplom, chociaż ktoś dochodził do jednego koszmata wieloletnich wyrzeczeń i poświęceń — i to jakich! — całej najbliższej rodziny plus własna zwyczajna nędza a kto inny kazał sobie płacić za to, że taskawie raczył się uczyć, bynajmniej się do finiszu nie spiesząc. Jeszcze się po drodze sfrustrował.

Myślę, że pan Kazimierz Młynarz we własnym doświadczeniu znajdzie setkę przykładów na ten prosty truizm, że liczy się rezultat, a nie wysiłek. Od tysięcy lat szukamy przecież sposobów na zmniejszanie wysiłków, nie rezygnując z rezultatów. Nie liczy się, ilu ludzi i jak ciężko pracowało przy wykopaniu rowu. Liczy się wykopany rów, który zresztą jest dziełem maszyny. Zdanie o Bergmanie i jego „Personie” zabrzmiało jednak dziwnie, zasugerowało jakąś nową — kto wie? — „proponycję”. Zwróciło uwagę.

Czyli rezultat został osiągnięty. Obojętne, jakim wysiłkiem.

CWIEK

CZY BĘDZIE PAN MIAŁ RESZTĘ...?

— Nazywam się Karol Dywidenda, panie doktorze. Jestem prezydentem „Oil Company of New Jersey”.

— Oczekiwałem pana. Więć to pan prosił swego lekarza o skierowanie do psychiatry. Zajmie pan miejsce w fotelu czy raczej na kozetce?

— Chętnie się położę.

— Co pana niepokoi, panie Dywidendo?

— Ludzie mówią o mnie prze-rażające rzeczy. Dokąd się udam, wszędzie gonią za mną e-pitety: „spekulant”, „szalbierz”, „mister Kretacz”. Nie mam już sił doktorze!

— Kiedy zaobserwował pan u siebie początki tej manii przesładowczej?

— To nie mania! Jestem prezydentem jednego z największych monopolu na świecie. O sobiście ofiarowałem 200 tysięcy dolarów na ostatnią kampanię wyborczą. Jestem ponadto stypendystą Amerykaninem. Żadam więc, aby odnośnie się do mnie z szacunkiem!

— Rozumiem. Proszę, oto chusteczka.

— Dziękuję. Wszyscy są wściekli na mnie, że nie chcę sprzedawać ropy w USA. Ale cóż mogę zrobić?

— Ma pan chyba silnie rozwinięty kompleks winy, mister Dywidendo.

— Niczemu nie jestem winien. Odwrotnie, mam wielkie zasługi. Bez względu na zaostojącą się konkurencję moja firma zaopatrywała w pierwszorzędną etylinę tych wszystkich, którzy mogli zapłacić. To nam, nafiarczom, Ameryka zawdzięcza, że stała się najbogatszym krajem wolnego świata.

— Więc po co panu psychiatra?

— Wszystko zapominam.

— Proszę o szczegóły!

— W tych dniach wezwano mnie na Kapitol przed oblicze komisji kongresowej. Kiedy zapytano, ile zarobiłem na kryzysie energetycznym, w żaden sposób nie mogłem sobie przypomnieć dokładnej liczby. Wtedy kongresmeni zainteresowali się,

ile wypłaciłbym naszym akcjonariuszom, a ja nie mogłem odpowiedzieć ani słowa. Następnie pytanie dotyczyło ogólnego wymiaru podatków uiszczonych w ostatnim okresie. I da pan wiarę, że stałem i patrzyłem na członków komisji, ale nie mogłem sobie przypomnieć?

— Być może cierpi pan na amnezję dotyczącą zarobków. Zdarza się.

— Kiedyś to się nigdy nie przytrafiło... Aż do momentu kryzysu energetycznego mogłem z pamięci odtworzyć wszystkie cyfry dotyczące obrotów. A dziś nie mogę sobie przypomnieć ile baryłek nafty miesięcznie przetwarzamy w naszych rafineriach.

— Utrata pamięci zaczyna urastać do rozmiarów epidemii w biznesie naftowym.

— To się lekko mówi. Ale co pan by powiedział, gdyby to pana 200 milionów ludzi posadzało o bogacenie się na kryzysie, podczas, kiedy pan jedynie stara się uzyskać przyzwolony procent od swego kapitału?!

— Czy pan sądzi, że tych 200

milionów ludzi ile o panu mówili, kiedy odwrócił się pan do nich plecami?

— Mnie się nie zdaje, ja wiem. Kiedy pojawię się na ulicy ludzie zaczynają skandować: „Dywidendzie, mało, mało! Ile od nas jeszcze chcesz?”

— Możliwe, że po prostu za-zdrościsz panu. Jeżeli jest się magnatem naftowym, panie Dywidendo, to na miłość ludu nie ma co liczyć!

— Doprawdy?

— Obecnie jeszcze trudno powiedzieć coś bliżej o pańskim przypadku. Koniecznych byłoby jeszcze kilka seansów, żeby móc wyrobić sobie sąd o tej przypadłości. Proszę pofatygować się do mnie za dwa dni o godzinie trzeciej po południu.

— Dziękuję, doktorze, bardzo mi pan pomógł. Ile należy się za dzisiejszą wizytę?

— Mam stałą takse — 40 dolarów za godzinę.

— Doskonale! Czy otrzymam resztę z tysiąc dolarowego banknotu?

(p)



ZA SZYBĄ

Robert Merle, znany współczesny pisarz francuski, laureat nagrody Goncourtów, autor wydanego w Polsce powieści „Smięć jest moim rzemiosłem” i „Zwierzę obdarzone rozumem”, jest zarazem profesorem uniwersytetu w Nanterre. Na kilka miesięcy przed słynnymi dniami barykad narodziła się myśl napisania powieści „Za szybą”. Jako twórczość służyła mu liczne rozmowy ze studentami na różne tematy, łącznie z tymi zakazanymi. Autor chciał bowiem otworzyć zgodzie z rzeczywistością życie codzienne studentów. Wydarzenia marca 1968, a więc rozruchy studenckie wpłynęły na to, że Merle wybrał jako temat swej powieści jeden z „gorących” dni tego miesiąca.

Skontrolował ją na zasadzie prowadzenia równoległych wątków — przedstawiania postaci nie związanych ze sobą, ale działających w tym samym miejscu i w tym samym czasie. W ten sposób tworzy panoramę jednego zwykłego dnia, ale zakończoną jednak niezwykłym wieczorem, gdy stu czterdziestu studentów opanoowało gmach administracji uniwersytetu w Nanterre.

Robert Merle — „Za szybą”, Czytelnik 1974.

HENRI

Mikropowieść „Henri”, to trzeci w dorobku postępowego zachodniemieckiego pisarza Hansa Fricka utwór, u nas znany do tej pory z powieści „Breinitzer, albo tamta wina”.

Jest to wstrząsająca relacja ojca, który stracił dziesięcioletniego syna w wypadku samochodowym na jednej z ulic Frankfurtu nad Menem. Chociaż w utworze tym miesza się fikcja literacka z autobiograficzną refleksją, to całość została głęboko osadzona w autentycznych realiach zachodniemieckiej współczesności.

Rozważania zrozpaczonego ojca nad bezsensownością naderżnięcia tu charakteru uogólniającego, stała się pytaniem o sens życia w NRF. Utwórka ta to szczególnie, gdy autor od spraw czysto osobistych przechodzi do oceny sytuacji ogólnoludzkiej w społeczeństwie Republiki Federalnej.

Frickowi udało się stworzyć bez natrętniej dydaktyki obraz nastrojów i atmosfery w Niemczech Zachodnich w końcu czasu — stanowiący piękny rozdział zupełnie nowego sposobu traktowania tematu, jakim są dzieje światowego proletariatu, jego bunt i procesy organizowania się. Temat ten ujmowany w tradycji

Hans Frick — „Henri”, Wydawnictwo Poznańskie 1974.

ARCHIPELAG PIĘCIU KUMULUSÓW

W pięćdziesiąt stron liczy kolejna, jedenasta już książka, jednego z najbardziej znanych naszych „latających reporterów”, Janusza Wołniewicza.

W stwierdzeniu tym nie ma zbyt wiele przesady, gdyż współczesny reporter korzysta przede wszystkim z samolotu, co pozwala mu bardzo szybko przemieścić się z jednego krańca świata na drugi. Wołniewicz w pełni korzysta z tych możliwości i w tym tomie relacjonuje swe lotnicze wyprawy od kół podbiegunowych i Alaski po archipelag Trobrianda.

Obok osobistych wrażeń i odczuć autora, głównym tematem książki są spotkania i rozmowy z ciekawymi ludźmi. Wśród nich nie zabrakło oczywiście Polaków, rozsiadanych przecież po całym świecie. Wołniewicz kontynuuje tu akcję zapoczątkowaną przez Olgierda Budrewicza — prezentacji Polaków, którzy rzuceni przez los na obczyźnie, swoją pracą i postawą przysparzają sławę polskiemu imieniu.

Janusz Wołniewicz — „Archipelag pięciu kumulusów”, Wydawnictwo MON 1974.

MORZE SPRZYJA ODWAŻNYM

Literatura marynistyczna liczy już setki tomów, lecz zawsze jest niezwykle chętnie czytana. Właściwie to zapewne ze szczególnym sentymentem, jakim obdarzamy, my, Polacy, morze.

Szczególnie obfita jest literatura wspomnieniowa. Za pióro chwytali niemal wszyscy, od wyższych dowódców, po chłystki marynary. Ale przecież każdy rejs dostarcza mnóstwa niezapomnianych wrażeń. A gdy takich rejsów odbyło się dziesiątki, można zapisać całe tomy.

„Morze sprzyja odważnym”, to wspomnienia ze służby na kilku kolejnych statkach, oficera Czesława Adamowicza. Rozpoczął ją na słynnej Białej Freckle, „Darze Pomorza”, a jednym z ostatnich był „Sobieski”, na którym autor przeżył w czasie wojny szereg bombardowań i ataków torpedowych. Właśnie to przypomnienie wojennych dzieł „Sobieskiego”, na ogół nieznanego, wydało mi się bardzo cenne. Wspomnienia Adamowicza, podobnie jak szereg innych podobnych, czyta się z dużym zainteresowaniem, jako kolejny parafrazę uwypuklającą cenne tradycje naszej marynary w czasie ostatniej wojny.

Czesław Adamowicz — „Morze sprzyja odważnym”, Wydawnictwo Morskie 1974.

PAN MIDSZYPMEN HORNBLOWER

Wydawnictwo Morskie publikuje czwartą już po „Szczęśliwym powrocie”, „Określenie linijowym” oraz „Z podniesioną banderą”, powieść wchodzącą w skład dziesięciotomowego cyklu, którego bohaterem jest Horatio Hornblower. Obrazuje ona początki jego marynarskiej kariery, gdy mając 17 lat w roku 1793 po raz pierwszy wstępuje na pokład wojennego okrętu „Justynian”, jako midszypmen.

Ponieważ brak w naszym języku odpowiednika tego słowa, postawiono je w brzmieniu angielskim. Oznacza ono, pochodzącego z tzw. dobrej rodziny, kandydata na oficera marynarki wojennej. Gdy jednak zabrakło protekcji czy wybitnych zdolności, niektórzy z kandydatów tkwili na tym stanowisku przez długie lata.

Hornblower nie mógł liczyć, jako syn lekarza na wielką protekcję. Natomiast od pierwszych chwil pobytu na okręcie ujawnił ogromne zdolności, spryt, inteligencję i odwagę, co doprowadziło go już po trzech latach, a więc w momencie, gdy nie przekroczył jeszcze dwudziestego roku życia, do godności dowódcy okrętu.

A. N.

Cecil Scott Forester — „Pan midszypmen Hornblower”, Wydawnictwo Morskie 1974.

FILM

INNA SZWECJA

Tydzień Filmów Szwedzkich zorganizowany w Łodzi po raz pierwszy i oczekiwany z dużym zainteresowaniem nie zawodził, a to z tej właśnie przyczyny, że dostarczył informacji o bieżącym repertuarze kinematografii, której filmy dość rzadko trafiają na nasze ekrany. Delegacja filmowców szwedzkich prezentująca pozycje Tygodnia, zapewniła, że pokazywane filmy są reprezentatywne dla szwedzkiego kina i jeśli, przyciągają do kina, to trudno mieć pretensje do kogoś, kto nie chce oglądać filmu, który nie dostarczył mu emocji.

Poza wszelkimi porównaniami pozostawał film Ingmara Bergmana „Krzyki i szepoty”, pokazywany w Przeglądzie w dwa tygodnie po jego polskiej premierze. Dokonał w ramach Konfrontacji-73. Wówczas daliśmy wyraz wrażeniu, że spotkanie z najnowszym filmem szwedzkiego reżysera było kontaktem z dziełem artystycznym doskonałym i przesiąkniętym humanizmem, którego wymiar staje się udziałem tych niedolnych utworów w sztuce, które noszą miano arcydzieł. Reminiscencja Konfrontacji, tym razem z roku 1971, był film Bo Widerberga „Joe Hill”, który nie widzieć czemu nie zdołał sobie utworzyć drogi na ekrany szerokiego rozpowszechniania, a przecież wraz z filmem „Adalen” tegoż samego reżysera stanowiłby piękny rozdział zupełnie nowego sposobu traktowania tematu, jakim są dzieje światowego proletariatu, jego bunt i procesy organizowania się. Temat ten ujmowany w tradycji

kina bądź w formie wielkich rewolucyjnych fresków, bądź surowej realistycznej rekonstrukcji, w twórczości Widerberga znajduje oprawę obrazów pełnych poetyckich znaczeń i nastrojów. Proletariackie ballady Bo Widerberga odkrywają nowe możliwości tematu, który do czasu jego prób zastąpił w pewnych, obarczonych tradycją konwencji gatunku. Zawarta w „Joe Hillu” mądra i gorzka opowieść o amerykańskim robotniku, którego u początków naszego wieku stracono po zainicjowanym procesie, fascynuje urodą balladowego stylu, głęboką harmonią tematu i jego obrazowości. Tak jak w arcydziele Bergmana, tak i w filmie Widerberga dostrzec można sztukę opowiadania obrazami, która paradoksalnie przecież, jest umiędzynarodowieniem, a nie ułomnością. Uroda kadrowa „Joe Hilla” jeszcze raz utwierdza w przekonaniu, że reżyser „Młoci Elwiry Madigan” jest tym twórcą, który posiadał tajemnicze plastyczność i liryczny ekran oraz kunszt filmowej narracji, której motorem nie musi być słowo.

Spśród pozostałych filmów szwedzkiego Tygodnia uwagę zwracały jeszcze dwie pozycje: „Nazywamy się Stellos” reżyserii Johana Bergenstrahle i „Historia miłości” Roya Anderssona. Obok „Joe Hilla” właśnie „Nazywamy się Stellos” był powściągliwym, ale niezwykle dla szwedzkiego nurtu filmów politycznych. Społeczny sondaż warunków pracy i życia emigrantów greckich w Szwecji zwracał uwagę

z rachunkiem i oceną, wnikał zresztą nie tylko w sferę układów społecznych i politycznych, ale także w problemy psychologiczne. Film Johana Bergenstrahle analizował wprawdzie zagadnienia zderzeniowe określonych warunkami jednego kraju i jednej grupy narodowej, lecz wydawało się, że podjęto szersze odniesienia, jako że przytłaczająca sytuacja Greków w Szwecji ilustruje wiele bardzo podobnych problemów innych społeczeństw świata zachodniego.

„Historia miłości” reklamowana jako odpowiednik amerykańskiego bissetera okazała się filmem nie mającym z „Love story” nie poza tytułem wspólnego. Film Anderssona zaskoczył znakomitością społecznego-obywatelskiego rysunku życia niższych warstw szwedzkiego społeczeństwa. Robotnicy, drobni urzędnicy i właściciele małych interesów — galeria postaci ludzi, żyjących z kompleksem niedzi, która nie jest, uświadamia ją konfrontacja ze standardem życia sfery zamożniejszych. Z ekranu wieje smutek, beznadzieja, nuda, będała udziałem ludzi dorosłych, lecz także i dzieci — przeciwnie, im radość niedotrzała miłości nastolatków wrażeń to pogłębia. Młodzi stali u progu tego samego życia, którego uczestnikami są rodzice. Najzamienniejszy kraj Europy w filmie Anderssona przestrasza, choć nikomu z bohaterów nie dzieje się krzywdy, ludźmi, których dobrobyt zabija, bawia się, mają swe minie lub bardziej skromne mieszkania, a także weekendowe domki. Wydaje się, że nie o brak większych możliwości perspektyw tego rodzaju wiska chodzi, lecz o obraz absolutnej stagnacji życia wewnętrznego — mustnia ideał, młodzi i uczeń. Oglądając ten film, nie można oprzeć się wrażeniu, iż styl „szkoły czeskiej” znajduje w szwedzkiej kinematografii swe reperkusje. „Historia miłości” prezentowała ten sam sposób obserwacji ludzi w ich codzienności, wyrosła niewątpliwie z tej ducha.

Widzowie ciekaw legendarną szwedzką swobodę erotyczną, która

rej odbiera oczekiwani w filmach, które niosł Tydzień, opuszczali za pewne kolejne sceny zawiązaną Melodramat „Klatka” Bengta Forslunda posiadał wprawdzie kilka dość mroźnych scen miłosnych i gwałtów, a „Kankula” Jana Halldoffa nie szczędziła pikantnych wulgarnych szczegółów. Obydwaj pan uprawiających najstarszy zawód świata, lecz ani w jednym ani w drugim filmie Szwedzi nie przekroczyli ogólnie przyjętych ekranych konwencji. Oba wspomniane filmy porażają natomiast były z dwu zupełnie innych względów. „Klatka” utwierdziła w przekonaniu, że nikt tak bardzo jak Szwedzi nie przekonuje świata o wyższości rodu kobiecego. Wrażliwość uczuciowa, siła, mądrość, bogate życie wewnętrzne kobiet przeciwstawiane światu mężczyzn pojawia się w kinie szwedzkim jako jeden z głównych tematów. U Bergmana znajduje swój esztyencjalny i filozoficzny sens, w filmach niższych lotów istnieje jednak również. Strindberg i Ibsen stoją gdzieś w tle tego, co jest również potężną, bardzo popularną kiną. Film „Kankula” zaś, każąc nam młodzić, że typowy humor niemieckiego partnera w Eurole znów komiecznie właśnie Szwedzi. Narodowe poczucie i typ humoru jest samo w sobie niezwykle ciekawym tematem tak dla psychologii jak i na pewno dla sztuki. Jeśli zaś o wspomniane filmy iacy coś z poprzednimi, to na pewno zaskakujący obraz krajin, którego dobrobyt kazaliby mniemać, że na ekranie pojawia się wizerunek innych ludzi, innego życia i innych problemów niż te, które nam pokazano. Symptomatyczny smutek, rozczarowanie, nuda wycierająca z wizerunków filmów mówiących o współczesnej Szwecji, zarówno tych o głębszych problemach ambicjach, jak i czysto rozrywkowych, każe ten kraj widzieć inaczej niż przywykliśmy.

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA

ILUMINACJI NIE BYŁO

Teatr współczesny przeżywa dotkliwy kryzys nie tylko w dramaturgii telewizyjnej. Anemiczny jest w tym zakresie również teatr, który żyje z ciągłego ponawiania interpretacji klasycznych, także film poszukujący natchnienia w bogatych złożach tradycji literackiej. Brak literatury głęboko problematyzującej teraźniejszość i wyrażającej zbiorowe intuicje idee i tęsknoty odbija się pustym echem na scenach i ekranach. W tej sytuacji obecnie kuno powstaje teatr, który pozorne często zestrzeganie jej z obecnym duchem czasu stało się jedyną ważką artystycznie strategią. Nieśmiało próbuje penetracji współczesności mają najczęściej charakter środowiskowy i kokietaż obyczajową egzotyka, najczęściej jednak pozabawione są poważniejszej problematyki ideowej i moralnej. Szansa myślowej powagi pojawia się wówczas, kiedy portretowane środowisko stoi najbliżej istotnych procesów współczesnej epoki — kształtuje je i wyraża.

Te szanse najlepiej zrozumiał i wykorzystał Krzysztof Zanussi.

Jego filmy fabularne, kinowe i telewizyjne, składają się na wariety artystycznie portret współczesnego bohatera, który przeżywa swoistą „naturalną” historię polskiego naukowca. Sukces reżysera polegał na umiejętnym powiązaniu dyalektów poznawczych z moralnym niepokojem. Zwłaszcza w „Iluminacji” Zanussi potrafił sugestywnie sko-

jarzyć naukową abstrakcję z ludzkimi wymiarami. Jednocześnie skomplikowane dramaty egzystencjalne jego bohaterów rozwijają się niezwykle precyzyjnie. Wiązania fabularne, sytuacyjne konflikty, uzasadnienia psychologiczne, dialogi, wybrane techniki narracyjne a także niezafalszowane przedstawienie tła obyczajowego stylu ideowym założeniem. Ta idealna harmonia pomiędzy myślowym projektem a jego filmową realizacją drażni niektórych krytyków, którzy zarzucają Zanussiemu niedowład emocjonalny jego utworów i dyskretnie pobrzmiewające rezerwy czyli elementy obce naturze filmowego spektaklu. Jednakże sukces artystyczny autora „Struktury kryształ” jest bezsporny i polega na wniesieniu do polskiej kinematografii i nie tylko polskiej, intelektualnej tonacji dotąd prawie nieobecnej.

Wspominam Zanussiego z powodu kolejnej premiery poniedziałkowego Teatru TV, która wypełniła sztuką Wojciecha Biełki „Wyruszyć o świecie” (B. IV, p. 1) w reżyserii Zygmunta Hübnera. Skojarzenia są w tym wypadku nieuchronne, ponieważ Biełko wkroczył na łódź przez Zanussiego dla sztuki odkrycia i zajmowania na prawach wyłączenia. Biełko również zajmuje środowisko naukowe i jego zmierzanie do specyfiki społecznej wyrażona w sformalizowanej hierarchii, która

ustala niepisane konwencje współzycia, określone reguły postępowania i nieco egzotyczną obyczajowość.

Rzecz dzieje się wśród matematyków, a więc naukowców uprawiających myślenie w stanie czystej abstrakcji, zwolnione od celów praktycznych. Już ten wybór zdradza intencje autora — nie obchodzi go wcale świat pogładowe konsekwencje uprawianej dyscypliny, lecz dramat życiowych postaw jej przedstawicieli. Biełko starannie charakteryzuje gradację naukowej społeczności, gdzie konfliktowe egzystują dwa niewspółmierne układy wartości — nauka jako najszlachetniejsza pasja poznawcza i nauka jako styl kariery obliczonej na konsumpcję. To jakby przetworzony dialog Jana z Markiem w „Strukturze kryształ”. Jednakże dr Piotr Zalecki (Władysław Kowalski) z „Wyruszyć o świecie” nie ucieka w ustronie, przeciwnie — zajmuje postawę agresywną i wyzywającą wobec akceptowanych reguł gry. Odrzuca profile kariery, ponieważ trzeba płacić za nie pokorą, której nie lubi. Jedynym ideałem naukowym i moralnym Piotra jest jego mistrz, profesor „starej daty” (Tadeusz Białoszczyski), oschły i wyniosły, wcielający żelaznej dyscypliny. Taka jest sytuacja wyjściowa dramatu. Wiarygodna chociaż nie pozbawiona stereotypowości. Głównie razi deklamatorstwo nonkonformistycznych racji głównego bohatera, który z zapalem powiela przewidziane na taką okazję frazesy. Z drugiej strony autor nie zbity szczęśliwie dobrał jeden z bardziej konkretnych atrybutów tego buntu w postaci „cluchowej” dziewczyny, w której to roli wyrażnie meczyła się skądinąd interesująca Anna Chodakowska. A poza tym dr Zalecki od dłuższego czasu nie pracuje naukowo co

zdecydowanie osłabia jego argumenty w oczach otoczenia.

Fabula sztuki rozwija się jednak wcale interesująco. Rzekomo plagiat uwielbianego profesora skutecznie koncentruje uwagę telewidza. Ale przecież ambicje autora nie kończą się na fabule o charakterze bez mała sensacyjnym. Plagiator afera stanowi pretekst dla szerszych dywagacji na temat etosu naukowca i tutaj, niestety, artystyczne zasługi Wojciecha Biełki urywają się. Dialogi, jakie Piotr prowadzi z prof. Gorączyńskim i z Siwickim (Bolesław Plotnicki) podczas prowadzonego na własną rękę śledztwa jedynie sugerują odkrywczość. Trudno bowiem doszukiwać się jej w oczywistych przekonaniach na temat doświadczenia i młodzieńczej pryncypialności, omeilenności wyboru rzeczy istotnych, a także niezależności rozwoju nauki od indywidualnych uzurpcji.

Ideologia dramatu Biełki wymusza posłuch na zasadzie kredytu zaufania dla poruszonego tematu, który bynajmniej nie jest samograjem automatycznie produkującym złote myśli. Wymaga natomiast myśli istotnie nowej i jasno sformułowanej. Zamiast niej znajdujemy w „Wyruszyć o świecie” pseudointelektualne zadęcie, które w końcu ztręszcza się w kilku banalach.

Byłbym okrutny gdybym całkowicie przekreślił wartość tego dramatu. Doceniając zatem dramatyczne walory oraz trafna charakterystykę obyczajową, nie przesłanę domagać się idei, a nie tylko jej pozorów.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

KSIAŻKA

ODMIENIECY

„Tylko ptaki, dzieci i święci są interesujący” — głosi motto umieszczone na wewnętrznej karcie tej książki. Ktoś kto przywykł w reportażach Ryszarda Wójcika szukać treści spójnych, komu nie zatarł się w pamięci uprawiany przez tego dokumentalistę (również i na szklanym ekranie) zapis tzw. „brudnych spraw ludzkich”, sytuacji społecznie dramatycznych, konfliktów, przez które wypowiadają się zawsze treści dla ogółu nieobojętne — ten zdziwi się niemal brzmieniem wielomownym takiego na wstępie dopisku.

„Tak to jest z Trzaskowską: nie można przypisać jej opowieści prozajcznym „nieprawdą”, bo chodzi ona kołami łapami po tej zwłownej granicy między „było” i „nie było” z tajemną, zadziwiającą zrzeczością i w końcu już mnie nie nie obchodzi wulgarny autentyzm, skoro te czary tak działały, że i ja zastępuję do świata innego, który nawet by mi się nie przysnił...”

Wybrany oto na chybił trafił, jeden z licznych komentarzy reportażu rozsiadanych w tekście, świadczy najlepiej o smaku tej lektury. Wójcik zgromadził w jednym tomie rój cały opowieści o ludziach z czwartego niemalże wymiaru. Tak niezwykle dobrał sobie modele, tak nie standardowo prezentuje nam postacie, że aż rodzi się podejrzenie o „mystyfikację”. Wulgarny autentyzm nie został jednak przez autora oddrącony! Irena Trzaskowska, spa-

ralizowana malarzka, „dobra czarownica” z Krakowa, malująca sceny ze swego prabytu, Józef Charyton z Siemiatycz, konstruktor tajemniczej „maszyny magnetycznej” — malarz żyjący ciągle koszmarem okupacyjnej Apokalipsy, słynny już dzisiaj (dzięki Wójcikowi) „największy wśród polskich krawców — astronom”, Adam Giedrys ze Szczecinka, a także: Wojciech Dworczyk, rekonstruktor polskiej trampy, człowiek, który podróżując na własny koszt, bez specjalnych funduszy, okrażył już kilka razy kulę ziemską... A także: pop — batuska z białostockiej wsi, głoszący z ambony chwałę witamin... Każda z dwunastu opowieści zawiera w tej książce, pokazuje nam postać ludzką, realną, a przecież — na swój sposób niezwykłą.

Ryszard Wójcik publikujący swe reportaże w prasie jest sobowtorem Wójcika, który na szklanym ekranie żyje również w kilkunastu reportażach. To jako autor filmów i reportaży o tychże omdienach, albo jako reportażysta interweniujący z kamerą w sprawy społecznie trudnych, zaniedbanych. Czytelnik książki łatwo skojarzy te dwie postacie w jednej osobie autora. Bo Wójcik stał się dozwolnie się do swych doświadczeń telewizyjnych, umieszczając „w kadryse” rozmaite sytuacje dane w opisie, ale także dziejące się niegdyś przed kamerą. Uczestniczymy, dzięki temu, w nowatorskim eksperymencie

reporterskim: oglądamy „kuchnię” nowoczesnego warsztatu dziennikarskiego, śledząc proces dochodzenia prawdy społecznej, ukazujemy stopniowo za pomocą rozmaitych środków wyrazu. Bardzo oryginalne podejście do przedmiotu! Autor nie chce, byśmy z pierwszego niejako słowa ufali jego wizji: oddania nam najpierw temat — tak jak go widzi w pierwszej odsłonie, uległy sugestii skłanianego człowieka, poddany działaniu niezwyklej sytuacji... Następnie weryfikuje obraz dochodząc doń po jakimś czasie, z kamerą filmową lub z długopisem. Jest jeszcze i etap trzeci: „historia po kropce”. Opowieść o wydarzeniach spowodowanych przez publikację albo będących następstwem emisji antenowej reportażu. Nierzadko ten rozdział trzeci zawiera najbardziej dramatyczne, gorzkie wątki i pointy (vide — historia krawca — astronom...)

Uderza pewna osobiwość, rzadko dziś wśród reporterów spotykana, cecha tego pióra: jest Wójcik narratorem bardzo poufale i delikatnym, nie wstydi się intymności swych doznań, nie boi wzruszenia. Trzeba bardzo szanować ludzi, których się opisuje, trzeba ich głęboko rozumieć i kochać, aby móc pozwolić sobie na taką szlachetną „wade”!

Słyszmy dziś częściej i aż nadto znane narkotyzowanie w sytuacji w naszym reportażu. Gdy się tę sytuację zna choć trochę bliżej, dziwić musi, że są jeszcze tacy pasjonaci gatunku, którzy wbrew wszystkiemu uprawiają z powodzeniem tę trudną sztukę. Proszę przyrzec się uważnie stronie dokumentacyjnej „Odmieniec” — choćby uwagą doskonałym fotografem sprężnietym idealnie z tekstem, grającym i tak wymownie w ramach słownego opisu... Albo to kalendarz kolejnych „odślon” kolejnego tematu: czasem kilka lat dzieli pierwsze spotka-

nie autora z bohaterem reportażu od ostatniego listu przytoczonego, dla zamknięcia danej historii, niemal tuż przed szpaltem odbitką książki... Mało który ze znanych reporterów „bawi się” dzisiaj w tak mozolne i tak długo trwające podejście do tematu.

Nie mam zamiaru namolnie akcentować głównej intencji autora tej książki. Czytelnik, sądzę, sam odnajdzie tu i tam rozsiadane w tekście odautorskie zwierzenia na ten temat. Wspomnę tylko zapamiętane przed laty zdanie Bohdana Czeskiego na kanwie literatury jakiegoś reportażu Andrzeja Szczypiorskiego: Czesko jakos tak pięknie powiedział o zmierzaniu, jakie nas czasem ogarnia, gdy zbyt długo przebywamy w domu, z którego okien jeden tylko widok — na panoramę dymiących kominów fabrycznych... i jak cudownie brzmi w takiej chwili odzwonienie się święszcza gdzieś za kominem... Chwała święszczom ukrytym w szparach zasadniczej naszej rzeczywistości!

Jedną gorzką refleksją: wydawnictwo „Czytelnik”, rzadko (w odróżnieniu od „Iskier”) oferujące czytelnikowi reportaż, bardzo starannie, na doskonałym papierze, wydawało „Odmieniec” w nakładzie wręcz śmiesznie małym: 5.000 egzemplarzy! Gdyby jeszcze chodziło o autora niesprawdzonego, próbującego siłę, debiutanta...

Być może, szeptali wydawcy i księgarzy tytuł — zbyt prowokujący i śmiały, jak na nasze wyobrażenia o odmienkach. Kord mnie zaraz zapytać: czy niejaki Kopernik nie był przypadkiem odmienem?... Ja zaprzeczam nie będę.

WASYL KOCZNOW

„Odmieniec”, Ryszard Wójcik, Czytelnik, Warszawa 1974, str. 331, cena zł 24. —

MAGAZYN

APEL O GODNOŚĆ WIOSENNA

Szedł sobie gajowy Kazik Miłosny swoim odciśnięciem lasu, patrzy zdumiony, a tu na wiosnę grzyby kozaki rosną. Zer-



Fot. Z. Zieliński

wał kilka i zdumiał się jeszcze bardziej, bo grzyby ze sztucznego tworzywa były. No dobrze, idzie sobie dalej, patrzy, a tu w krzakach goła baba biega. Skoczył gajowy, by babę własną kurtką okryć, wtem śmiech straszny i krzyki zły słyszy. A to ekipa filmowa była, która w plenerze film o życiu współczesnego lasu nakręcała.

Przyszedł majster Józef Orzech do ZPM BS — 3 na swoją zmianę, patrzy niemiłe zdumiony, a tu przed bramą Zakładu kapitalista w meloniku stoi. Stropił się majster, bo przecież demokrację mamy a nie na wszelki wypadek czapkę zdjął i grzecznie kapitalistę pozdrowił. Wtedy śmiech ogromny usłyszał i krzyki zły. Bo to ekipa filmowa była, która film o nierównościach klasowych przed I-szą Wojną Światową kręciła. Wrócił inżynier techniczny Jan Buchała wcześniej niż miał z delegacji, patrzy, a tu jego żona Stanisława w łóżku z wąsatym brunetem leży. Tęczę rzucił inżynier techniczny i tak jak stał, ku brunetowi skoczył, by go za wąsy złapać. A tu śmiech straszny i krzyki zły... Bo to też ekipa filmowa film nakręcała, tyle, że o bo-lączkach technicznej inteligencji. Wiosna przyszła, stonczko, filmowcy rażo do roboty ruszy-

li. Nie utrudniajmy im pracy niepoważnym zachowaniem.

KŁOPOTY POLONII AMERYKAŃSKIEJ

W kinie w Nowym Jorku, w czasie wyświetlania polskiego filmu jeden z widzów zachowywał się w sposób prowokacyjny.

MAŁE KINO

„Najlepsze są te małe kina...”

KIG

ny. Osobnik ten wiercił się, stękał i głośno syczał. Zmartwionej tym Polonii Amerykańskiej wyjaśnił, że lubi polskie filmy, tylko uwierzył go właśnie nowo zakupione laski. Zakłopotana Polonia Amerykańska nie bardzo wie, czy uwierzyć osobnikowi, czy też martwić się dalej.

GÓRALSKIE PLANOWANIE

Młody reżyser nowozelandzki, kręcąc film o pięknie naszego kraju, ustawił na szczycie Giewontu górala i polecił mu pa-

trzeć hen, w nieskończoność. Dumny góral odmówił zdecydowanie, tłumacząc po góralsku, że aktualnie ma na co bliżej patrzeć. W rezultacie dyskusji obie strony uzgodniły, iż spojrzenie hen, w nieskończoność zostanie wykonane późną jesienią, po zakończeniu robót polowych.

GWIAZDA ALE CZŁOWIEK

Znana ze swojej dobroczynności młoda i jedyna gwiazdka filmu francuskiego Coco Debillé, przynajmniej raz w roku, odwiedza wybrany Dom Rentiera i przez kilka godzin przyzwala na bezkarnie szczypanie przez mieszkańców starszoków. Po takich odwiedzinach rentierzy trawia znacznie lepiej a Coco ma to wspaniałe poczucie, że jest jeszcze komuś naprawdę przydatna.

AMBITNE PLANY

Donoszą, że Telewizja Polska szykuje nowy wspaniały serial o życiu gołębi pocztowych, o ciężkiej pracy i trudzie tych wspaniałych ptaków, o ich bezinteresowności i szlachetnej rywalizacji w służbie człowiekowi. Niewątpliwie do popularności serialu przyczyni się fakt że jego bohaterowie tzn. gołębie pocztowe, będą w odróżnieniu od zwykłych gołębi pokoju, nosić na łebkach małe czapeczki z daszkiem a na plecach torbki, zupełnie tak, jak listonosze. Ciekawy jest też pomysł, że tytułem każdego odcinka będzie po prostu coraz to inny numer kodu pocztowego. Małym dzielnym ptaszkom oraz całej ekipie życzymy górnych lotów i czytelnich adresów.



Fot. Archiwum

NIEZNANY WIERSZ J. TUWIMA

W nr 13 „Odgłosów” z dnia 28.3. przeczytałam artykuł p. red. Wilmańskiego pt. „Nieznany wiersz Juliana Tuwima” i wtedy przypomniałam sobie, że kiedyś, wertując swoje szpargały, znalazłam przepisany przeze mnie wiele lat temu z międzywojennej prasy satyryczny artykuł Juliana Tuwima o Kiepurze. Dziś nie pamiętam już, jakie to było czasopismo, które ten artykuł wydrukowało, ale pamiętam doskonale, że podpisany był on przez J. Tuwima (faksymile). Był to okres największych triumfów Jana Kiepury, które zdaje się trochę przewróciły w głowie kochanego „chłopca z Sosnowca”.

Znane poczucie humoru Tuwima natychmiast go widocznie do napisania tej satyry. Z b. niezbytelnego mego rękopisu przepisałam artykuł na maszynie i odtąd przesyłam Sz. Redakcji do ewentualnego wykorzystania. Miałam niedawno w ręce zbiór utworów J. Tuwima, ale w żadnym z dwóch tomów artykułu tego nie znalazłam, widocznie nie był on nigdy potem drukowany. Przesyłam wyrazy szacunku

WANDA WICHIŃSKA

Wiekopomnę odkrycie Juliana Tuwima! Przewrót w dziejach! Rewelacyjna sensacja! Ostateczne odcyfrowanie mickiewiczowskiego proroctwa!

JAN KIEPURA — 44

Potężne manifestacje niezliczonych tłumów na cześć Jana Kiepury, żywiołowy entuzjazm narodu dla wszechświatowej, a nawet kosmicznej sławy tenora i wyraźna aura mistyczna, jaka zaczyna otaczać postać genialnego Pieśniarza nad Pieśniarzami — wszystko to skłoniło mnie do kabalistycznych studiów nad postacią Mistrza. I oto doszedłem do wręcz sensacyjnego odkrycia, że Jan Kiepura to właśnie „ON”, ten dawno Zapowiedziany, Nadciągający, Idący, Zbliżający się, słowem że

w osobie JANA KIEPURY ucieleśniał się ÓW MAŻ przez Adama Mickiewicza proroczo wskazany, ów „namiestnik wolności na ziemi widomy”. Dowody moje są tak przekonujące i zgodne z wizją ks. Piotra z „Dziadów”, że im nie tylko nikt nie zaprzeczy, ale nawet nie odważy się podać w najmniejszą wątpliwość.

Oto one:

1. „Trzy końce świata drżą — gdy on woła i słyszę z nieba głosy jak gromy”... Zgadza się i sprawdza dosłownie. Ostatnie koncerty Kiepury i transmisje radiowe dowiodły, że w samej rzeczy.
2. „Nad ludy i nad króle podniesiony”... Zgadza się. Kiepura, śpiewając zawsze jest podniesiony (estrada, scena, dach samochodu itd.).
3. „Na trzech stoi koronach, a sam bez korony”... niewątpliwie. Dość przypomnieć, że Hotel „Patria” w Krynicy stoi na wzgórzu, wille zaś „Trzy Róże” i „Węgierska Korona” (razem trzy korony) są w dole.
4. „A życie jego trud trudów” — kłóć nie przynajmniej?
5. „A tytuł jego lud ludów” — prosty!
6. „Z matki obcej” — zgadza się.
7. „Krew jego dawne bohaterów”... Jasne! Kiepura śpiewając wciela się w dawnych bohaterów.
8. „A imię jego czterdzieści i cztery”... I tu dochodzimy do sedna sprawy: imię jego jest rzeczywiście czterdzieści i cztery (44). Oto tablica:

a — 1	e — 5	i — 9	m — 13	r — 17	w — 21
b — 2	f — 6	j — 10	n — 14	s — 18	x — 22
c — 3	g — 7	k — 11	o — 15	t — 19	y — 23
d — 4	h — 8	l — 12	p — 16	u — 20	z — 24

Dodajmy liczby stojące przy literach, z których składa się

imię i nazwisko Pieśniarza:

JAN KIEPURA
10 1 14 11 9 5 16 20 17 1

Otrzymujemy 114. Ale czy Jan Kiepura jest tylko tenorem? Nie! Jan Kiepura jest tenorem i namiestnikiem (patrz wyżej). A ile przypada na tenora?

tenor
19 5 14 15 17 = 70

Jeżeli zaś: Jan Kiepura = tenor + namiestnik to: Namiestnik = Jan Kiepura — tenor czyli Namiestnik = 114 — 70 tj. 44.

„Sława! Sława! Sława! tak kończy ks. Piotr widzenie w „Dziadach”... I to też się zgadza! A jeżeli wszystko się zgadza, to na pewno wszyscy się zgadzają.

Więc hejże przewódz nam! Stań na głowie, a stań na czele! Już szumią jodły na gór szczyty! Dla ciebie też pieśń! Już z pałacu Paca kęca rozbrzmiewa rażny mazurek Dąbrowskiego Marianat Przybądź! Za twym samochodem złączym się z narodem! „Dokąd ty jedziesz Jasiu?” Dość niepewności! Już czas żebys zaczął działać na szerszą skalę, na „La Skale” dziel-jowa! Kto powiedział, żeś ty jeno śpiewający fircyk? Vier und Vierzig jesteś! Czterrrrdzieści i cztery! Taka chwila drugi raz się już nie powtórzy. Wszystko gotowe! Czekamy!

W transie, lecz z najszybszą sympatią dla wspaniałego śpiewaka i milego „chłopca z Sosnowca” napisał Tuwim.

Od redakcji: Publikowany wyżej utwór Juliana Tuwima ukazał się w formie malej, czterostopniowej ulotki, jako załącznik do 28 numeru „Szpilek” z roku 1936. Była to nie tylko satyra na Kiepurę, ale także parodia licznych w latach międzywojennych rozpraw historyczno-literackich na temat Mickiewiczowskiego proroctwa — „czterdzieści i cztery” w „Dziadach”. Powyższy tekst przedrukowany był w trzecim to-mie „Dzieli” („Jarmark rymów”, Czytelnik, 1938).

SEX W LITERATURZE

SEX W LITERATURZE

SEX W LITERATURZE

JAMES JOYCE

ULISSES

(...) to tylko pierwszy raz a potem to już zwykła rzecz ro-bi się to i nie myśli się więcej dlaczego nie można pocałować mężczyzny bez wyjścia przedtem za niego za mąż ezasami chcesz tego zupełnie dziko kiedy czujesz to tak przyjemnie w całym ciebie nie możesz się powstrzymać chciałabym czasem żeby jakiś mężczyzna wziął mnie w ramiona przy nim i pocałował nie ma to jak pocałunek długi i gorący do dna duszy prawie cię paraliżuje ale nienawidziłam tego spowiadania się kiedy chodziliśmy do Ojca Corrigan a dotykał mnie ojciec i co to zresztą szkodzi że dotykał gdzie a ja powiedziałam na brzegu kanału jak głupia ale ale gdzie na twojej osobie nie zdradziłaś na nodze z tyłu czy wysoko tak raczej wysoko to na czym siedzisz tak O Boże czy nie mógł powiedzieć tylek zwyczajnie i skończyć z tym co to ma wspólnego jedno z drugim i czy robiłaś tamto któredyś to włożył nie pamiętam nie ojciec i zawsze myślę wtedy o prawdziwym ojcu dlaczego chciał to wiedzieć kiedy wyspowiadałam się już z tego Bogu miał miłe tuste zagłębienie dłoni zawsze wilgotne nie przeszkadzało mi jej dotknięcie ani jemu ja myślę z tą byczą szycją w tym chomąciecie-kawe czy poznał mnie w konfesjonale mogłabym widzieć jego twarz on nie mógł mojej oczywiście nie odwrócił się ani razu ani nie zdradził ale miał zaczerwienione oczy kiedy ojciec mu umarł straceni są dla kobiet a co dopiero dla nich samych chciałabym żeby mnie objął ktoś w jego szatach z tym zapachem kadzidła na nim jak papież poza tym nie ma strachu z księdzem jeżeli się jest mężatką jest aż za bardzo ostrożny potem daje pewnie coś J S papieżowi jako pokutę ciekawa jestem czy było mu ze mną przyjemnie

Jedyna rzecz która mi się nie spodobała to ta klepnięcie mnie w tyłek w przedpokoju kiedy odchodził tak poufale chociaż rozebrałam się nie jestem koniem ani osłem prawdę przy-puszczam że myślał o swoim ojcu ciekawa jestem czy nie śpi czy myśli o mnie czy śni mu się coś czy jestem tam w tym śnie kto mu dał ten kwiat który powiedział że sobie kupił pachniał jakimś napojem nie whisky ani piwem może to słodkawa mazią którą przyklejały afisze jakiś alkohol chciałabym pić tak powoli i wygodnie wyglądające zielo-ne i żółte kosztowne trunki które piją ci fircykowie spod teatru w cylindrach spróbowałam kiedyś zanurzając tam palec od tego Amerykanina który miał wiewiórkę rozma-wiał o znaczkach z ojcem ze wszystkich sił strzegł się żeby nie usnąć po ostatnim razie kiedy to wypiliśmy porto i zjedliśmy marynowane mięso miało świetny słony smak tak bo czułam się cudownie i zmęczyłam się i usnęłam jak kamień w tej samej chwili kiedy weszłam prosto do łóżka póki ten grzmot mnie nie obudził jakby się świat skończył Boże zlituj się nad nami myślałam że niebo runie na nas żeby nas ukarać i przeżegnałam się i powiedziałam Zdro-waś Mario jak te okropne pioruny w Gibraltarze a potem oni ci powiadają że nie ma Boga a co by można zrobić gdyby to tak runęło i rozlało się wszędzie nie tylko zrobić akt skruchy tak świeca którą zapaliłam wtedy w kaplicy przy Whitefriars street na miesiąc mają widać że przyniosła szczęście chociaż drwiłby z tego gdyby się dowiedział bo on nigdy nie chodzi do kościoła na mszę albo modlitwy powia-da twoja dusza nie masz żadnej duszy w środku tylko szare komórki bo nie wie co to znaczy mieć duszę tak kiedy zapaliłam lampę tak bo chyba musiał spuścić się ze 3 albo 4 razy tym ogromnym wielkim czerwonym bydlakiem któ-rego ma myślałam że mu na tym żyły czy jak się to nazywa pękła chociaż nosa nie ma wcale takiego dużego kiedy rozebrałam się ze wszystkiego a rolety były opuszczone po tych wszystkich godzinach mojego ubierania się i perfumowa-nia i czesania a to sterczało jak kawał drutu albo grubym łom przez cały czas w moją stronę chyba musiał najęść się ostrym myślim że z parę tuzinów bo był przy głowie nigdy w

życiu nie poczułam żeby ktoś miał takiego tych rozmiarów żeby cię aż tak wypełnił chyba musiał zjeść później całą owcę i co to za pomysł żeby nas tworzyć z taką wielką dziurą pośrodku jak Ogier wbiła to w ciebie bo przecież to jest wszystko czego chcą od ciebie z tym żąłartym złym wyrazem oczu musiałam przyknieść oczy ale nie ma aż tak ogromnego ognia w sobie kiedy kazałam mu wyciągnąć to i skończyć na mnie myślać jakie to jest wielkie i będzie le-piej na wszelki wypadek gdyby się wszystkiego nie dało wymyśle stamtąd porządnie za ostatnim razem pozwoliłam mu to skończyć we mnie to ładnie wymyślone dla kobiet żeby on miał całą przyjemność ale gdyby ktoś im dał to odczuć wiedzieli by co przeszedł z Milly niki by nie uwie-rył a kiedy żeby jej się przerywały też a mąż Miny Pure-foy ze swymi kelnerskimi bokobrodami nabija ją dzieckiem albo bliźniętami co roku regularnie jak w zegarku ciągle jest wokół niej zapach dzieci i jedno na które mówił wier-cipięta czy jakoś tak podobne do murzyna z kudłatą czu-purny Jezusku miłutki dzieciak jak czarniutki ostatni raz kiedy tam byłam cała ich chmara jedno potykało się o drugie i wrzeszczały że nie można było samej siebie usłyszeć podobno to zdrowe nie uspokoją się póki nie zobaczą nas wzdętych jak słonice albo nie wiem już co przypuścimy że zary-zkowałam bym miała jeszcze jedno ale nie z nim ale jestem pewna że gdyby się ożenił miałby ładne silne dzie-ko (...)

(Fragment)
Przełożył: Maciej Słomczyński

James Joyce (1882—1941). Wybitny pisarz angielski pocho-dzenia irlandzkiego. Był wielkim erudyta, znał wiele je-zyków. Nową epokę w historii literatury stworzyła jego powieść „Ulysses” (1922). Joyce odszedł od klasycznego ty-pu powieści z jej realistyczną, chronologiczną narracją, a zastosował tzw. strumień świadomości, zerwał z tradycyj-nym ujęciem sylwetki bohatera powieściowego i ukazał go w bogactwie różnych wcieleni.